


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MACIEJ PATKOWSKI

**MAŁY DIABEŁ
Z BATIGNOLLES**

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2002**

CZEŚĆ PIERWSZA

Dorożka zatrzymała się przy rue de la Chaussée d'Antin. Woźnica zeskokczył z kozła i otworzył drzwi karocy.

Pan Brzozowski¹ wysiadł. Rozejrzył się z ciekawością. Był tu po raz pierwszy.

– Numer 38, *monsieur*, to właśnie na wprost.

Ruszył tam i niebawem znalazł się w bramie. Znów przystanął niezdecydowany, zdawało mu się, że mieszkanie powinno znajdować się na piętrze, lecz dla pewności rzucił okiem w stronę drzwi tuż obok wejścia do posesji.

Usłyszał kobiece kroki na schodach i czyjś głos.

– Czy pan może do sławnego fortepianisty...?

– Tak, tak, zgadza się.

Spojrzał na Francuzkę i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób od razu domyśliła się, czyjego mieszkania on poszukuje. Przechodząc obok, kobieta roześmiała się i może to pytanie wyczytała w jego twarzy, bo zaraz dodała nie bez cienia ironii:

– Odniosłam wrażenie, że pan nie jest Francuzem, wobec tego musi pan być Polakiem, zatem poszukuje pan mieszkania fortepianisty. Schodami na prawo.

Skłonił się w milczeniu, odpowiedziała mu uśmiechem i wyszła na ulicę.

Po chwili zadzwonił do drzwi na pięterku. Długo nikt nie otwierał. Było dość wcześnie i pora niezbyt stosowna do składania wizyt. Zwłaszcza – niezapowiedzianych.

Usłyszał szcęk zamka we drzwiach. Służący uchylił je tylko i czekał z pytającym spojrzeniem, dalekim od życzliwości.

– Czy zastałem pana Fryderyka? – spytał Brzozowski, siłąc się na piękną francuszczyznę.

– *Monsieur* – odrzekł służący – ...e, *café*, e... *leçon*².

Uśmiechnął się rozbawiony tą erudycją służącego i już bez większych ceremonii powiedział w ojczystym języku:

– Skoro pan Fryderyk i kawę, i lekcję poranną kończy, więc usiądę, by nie krępować, i zaczekam, aż będzie miał chwilę wytchnienia.

Na dźwięk polskiej mowy służącemu wyraźnie poprawiła się mina. Zaprosił gestem i ukłonem do mieszkania. Spytał, czy zaparzyć herbaty dla porannego gościa... a tymczasem podsunął mały fotelik z jasnego drzewa w kolorze orzechowym, bogato zdobiony na oparciu i poręczach.

Pan Brzozowski usiadł i przelotnym spojrzeniem obrzucił salon. Służący co prędzej chwycił błyszczące, czarne lakierki swego pana, które widocznie zamierzał przetrzeć szmatką dla połysku, i zatrzasnął szafkę.

W oczach pana Brzozowskiego wydała się ona prawdziwym cackiem. Niska, o kunsztownie wyważonych kształtach, z drogiego drzewa, cała w inkrustacji; wzór delikatny, świadczący możliwie najlepiej o rękodziele wspaniałego rzemieślnika i równocześnie o gustach właściciela, który postanowił ozdobić tym meblem recepcyjny salonik...

„Ale żeby do takiej śliczności wrzucać brudne buty, szmatki, pasty i szczotki, czy to nie

¹ Długoletni przyjaciel Fryderyka Chopina.

² *Monsieur... café*, e... *leçon*² (franc.) – Pan... kawa, ... lekcja.

pochopna rozrzutność” – pomyślał pan Brzozowski.

Wtem drzwi do pokoju otworzyły się i młody, energiczny głos zakrzyknął na służącego:

– Jasiu, czyżby ktoś przyszedł?

– Tak, proszę jaśnie pana.

Brzozowski nie mógł usiedzieć w foteliku. Zerwał się, podbiegł i zawołał:

– Frycek! Na miłość Boską, Fryderyku! A tom cię ujrzał po tyłu miesiącach!

Pan Chopin szerzej otworzył drzwi, by więcej światła padło do saloniku, wyprostowany, wsparty ręką o framugę, nachylił głowę swoim zwyczajem i krzyknął:

– Niemożliwe! Pojęcie ludzkie przechodzi. Siedzę tu, korepetycji na pianoforcie udzielam bardzo ślicznej pannie hrabiance i za nic w życiu bym nie pomyślał, że schodami ktoś do mnie maszeruje... właśnie Brzozowski, mój ty najmilszy, chodźże tu, niech cię uściskam.

I zaczęły się serdeczne przywitania. Chopin zaprosił przyjaciela do pokoju i rad był, że może swoją uczennicę, zdolną i piękną, zaprezentować gościowi z kraju.

Panna hrabianka rzeczywiście mogła wzbudzić podziw nie tylko samą urodą. Brzozowski przysłuchiwał się lekcji, graniu panny hrabianki, póki jej guwernantka nie domyśliła się, że *monsieur* Fryderyk i ten jegomość mówiący po polsku marzą, by podzielić się przeróżnymi historiami, gdy tylko zostaną sami.

Podziękowała więc za lekcję, pomogła hrabiance zgarnąć zeszyty nutowe, po czym grzecznie się pożegnawszy, odprowadzone przez służącego zniknęły w korytarzu.

Pan Brzozowski nie mógł się nadziwić. Ten biedny Frycek, blady, anemiczny, chudzina o figurze panienki, oczach dziecka i wielkim zgarbionym nosie, wąty i wiecznie trochę przeziębiony Frycek, jakże teraz okazał się niepodobny. Oto stał przed nim człowiek o radosnej twarzy, świeży, energiczny, pełen humoru i dobrego samopoczucia, tęższy, przez co wydawał się jakby nieco wyższy. Powodzenie i zawrotna kariera, jakiej nigdy dotychczas żaden z Polaków nie osiągnął w gwarnym mieście na obczyźnie, widocznie znakomicie wpłynęły na Fryderyka. Wydawało się chwilami, że to zupełnie ktoś inny i gdyby nie głos, gdyby nie uśmiech i to figlarne, urzekające wszystkich usposobienie – można by się zastanawiać, czy to nie kuzyn jakiś, czy też ktoś wielce do polskiego pianisty podobny.

Ale to był właśnie Chopin, u szczytu swej fantastycznej kariery, powodzenia, i to w trojakim rozumieniu: pianisty, kompozytora i przyjaciela wielu zacnych rodzin i sławnych domów. Lecz nie wiedział ani pan Brzozowski, ani sam Fryderyk, że już w kilka miesięcy później pojawią się pierwsze wyraźne oznaki choroby...

Głośnie i żywą rozmowę przerwał służący. Przyniósł kawę dla panicza i herbatę dla gościa. Położył również na stoliku kopertę, wyjaśniając:

– Posłaniec doręczył to przed chwilą.

Chopin otworzył list i przeczytał.

– Tak – zwrócił się do Brzozowskiego – podziwiasz moją zdrowiem tryskającą fizjonomię i pytasz, czy aby nie forsuję swego zdrowia. Cóż mogę odpowiedzieć ponad to jeno, że przymuszony do takich zajęć, które nie chcą się inaczej zakończyć niż o drugiej w nocy.

Zobacz, właśnie pismo skreślone przez pana Ledóchowskiego³, i jak donosi, w niezwykle ważnej dla ojczyzny sprawie, liczy na moją obecność wieczorem na bankiecie. Już ja wiem, czym to się skończy. Kolacja, toasty, śpiewy i grania na licznych instrumentach, potem zaś roznoszone wina i desery, a może i tańce, których nie da się ominąć.

– Czy będziesz tam grał, Fryderyku?

– Dlaczego pytasz?

– Miałbym okazję cię posłuchać.

– Wybierasz się?

– I owszem. Mój znamienity przyjaciel, któremu wczoraj zdążył odwiedzić, zabiera mnie

³ Jan Ledóchowski (1791-1864) – działacz polityczny; od 1825 r. poseł na sejmy Królestwa Polskiego; na emigracji współpracował z gen. Józefem Dwernickim w nieudanej próbie jednoczenia emigracji.

ze sobą, a co do pana Ledóchowskiego – dużom o nim słyszał, i to wiele dobrego. Rad go ujrze, by się przekonać, ile prawdy w ludzkim gadaniu.

– Masz rację, mój drogi, pan Ledóchowski wielkim poważaniem się cieszy... zwłaszcza pośród moich uczennic.

Roześmiali się obaj. Chopin wskazał dłonią srebrną paterę z owocami.

– Bierz, mój drogi, częstuj się i niech ci owoce ziemi francuskiej smakują, póki ludzkie ręce i ludzkie uczynki nie zatrują ich jadem.

Bał u Ledóchowskiego jak zwykle był wyśmienity. Zgromadziło się tu wielu ludzi o sławnych nazwiskach w towarzystwie pięknych kobiet i trudno się było zdecydować, co najpierw podziwiać: mundury, szlify i odznaczenia, toalety damskie czy migocącą w światłach biżuterię. Bo wszystko naraz mieniło się w oczach, zwłaszcza człowiekowi, który niezbyt ciekawy żywot wiódł na polskiej prowincji, a potem w różnych i wcale nie luksusowych warunkach przemierzał drogi wiodące do Paryża.

Pan Fryderyk przez cały wieczór udawał, że mu humor dopisuje, a w skrytości czekał tylko, żeby się już to wszystko skończyło. Na próżno gospodarz i co znamienitsi goście prosili, by usiadł do pianoforte. Nie dał się namówić. W gruncie rzeczy miał ochotę pochylić się nad klawiaturą, może nawet nie dotykając jej, zanurzyć twarz w dłonie, przymknawszy powieki – mieć ją ciągle przed oczyma i słuchać dźwięków, które się brały znikąd. Często lubił się tak zamyślać nad klawiszami, słuchając własnej muzyki, a jakby czyjejś obcej i przyciszonej, jakby muzykowania czyjegoś w drugim salonie czy w mieszkaniu z naprzeciwka przy otwartych oknach.

A już do reszty zniechęciło go zaproszenie Ledóchowskiego do rozmowy sam na sam. Nareszcie zrozumiał Fryderyk, skąd ten pilny list i naleganie, by koniecznie stawił się owego wieczora na przyjęciu towarzyskim.

Ledóchowski wziął go pod ramię i zaprowadził do biblioteki, a gdy zamknął drzwi, nawet głosów rozweselonych gości nie słyszało się wcale.

Stary służący w czarnej liberii zapalił świece na komodzie i stoliku. Usiedli w pobliżu okna. Ledóchowski odprawił służbę skinieniem ręki.

Dziś wyglądał jakby nieco młodziej. Jego wielkie oczy mocno osadzone pod czarnymi brwiami zdawały się nie tylko patrzeć bystro, ale nadawały całej twarzy stanowczy wyraz człowieka świadomego swej woli i swoich czynów. Włos lekko sfalowany, niezbyt bujny, układał się w liczne loki, szczególnie nad czołem. W swym kosztownym stroju wieczorowym, z wielkim krzyżem zasługi na kolorowej wstędze, czynił wrażenie prawdziwego gospodarza domu, w którym mówiło się o sprawach wielkich i ważnych.

– Chciałem z panem pomówić – zaczął Ledóchowski – o przedsięwzięciu, które być może wpłynie na losy Polski.

Chopin zdziwił się w duchu, że człowiek tego pokroju co poseł Jan, lubiący częściej o rodzajach wina różowego i toaletach dam godzinami gawędzić niżeli wielkimi słowy dysputy wieść o rozmiarach nieszczęść, jakie na ojczyznę spadają, nagle zaczął tak uroczyście i od wielkiego dzwonu, jakby naprawdę chodziło co najmniej o podjęcie decyzji co do daty nowego powstania w kraju. Słuchał więc, by jak najprędzej wyrobić sobie własne mniemanie o intencjach pana posła, niezależnie od słów, które padały w tej bibliotece.

– Drogi panie Fryderyku, wyłuszczę krótko. Jest pan potrzebny. Oczekujemy pańskiej pomocy.

- Mojej? Jam przecie człowiek daleki od polityki.
- Tym razem, panie Fryderyku, rzecz dotyczy wyższych celów.
- Słucham uważnie.
- Oto minęło już dawno pełne dziesięciolecie od czasów, kiedyśmy się tu na obcej ziemi znaleźli, wygnańcy, patrioci, żołnierze wolności.

Chciał Fryderyk zapytać wprost, do czego pan poseł zmierza, bo komuż będzie prawili tyle wielkich słów. Wszak to nie jest zebranie kłótliwych stowarzyszeń. On zaś doskonale wiedział, co kto ma na myśli. Ale wrodzona niechęć do ponagłania kogokolwiek i tym razem skłoniła go do milczenia.

Ledóchowski zaś mówił:

– Wielu nas przywędrowało z Polski. Są pośród nas także ludzie młodzi, bardzo młodzi, żołnierskie natury, krzepcy młodzieńcy, bohaterowie powstania. Ci nie samą myślą o Polsce żyją. Jakże wielu z nich rodziny tu założyło, nowego pokolenia się doczekało. Czy pan wie, że w samym tylko Paryżu setki polskich dzieci ledwie co potrafi dwa słowa ułożyć w języku swoich ojców?

- Tak, myślałem o tym i myślałem ze smutkiem.
- Cieszę mnie, że jednego jesteśmy zdania, tym łatwiej pan doceni trud, którego chcemy się podjąć.
- Uważnie słucham pana posła – odrzekł Chopin.
- Nie wiem, czy jest pośród nas, wygnańców, jedna bodaj osoba, która by nie czuła, że do matki swej, ziemi ojczystej, wrócimy jako tryumfatorzy.
- Ja żywię tę nadzieję.

– Czyż mamy tam wrócić sami? Bez naszych synów, zrodzonych na francuskiej ziemi? Czymże oni będą, wszak najlepsze nawet szkoły francuskie zdolne są wychować człowieka pracowitego i rozumnego, ale żeby z dziecka zrobiły Polaka, sercem i duszą żyjącego tylko życiem Polski, kochającego ją tym więcej, im jest nieszczęśliwsza, o tym ja zupełnie wątpię. A cóż nam z tego, że dzieci polskie wezmą najlepsze wychowanie wojskowe francuskiej akademii, jeśli tego żaru serc żołnierskich i wiedzy oficera ojczyźnie w przyszłości nie ofiarują... Potrzebne jest nam takie miejsce na ziemi obcej, gdzie wszystko tylko byłoby naszą ojczyzną, potrzebny jest skrawek bodaj najskromniejszy, ale prawdziwej Polski, gdzie będą mogły dzieci urastać takimi, jakimi je widzieć chcemy. To my, ludzie światli, odpowiedzialni za losy wychodźstwa musimy tak ukształcić urastające na wygnaniu pokolenia, które by pod względem narodowym, naukowym i fizycznym potrzebom ujarzmionej ojczyzny i przyszłej społeczności Polski takie przyniosły korzyści, jakie w obecnym położeniu narodu naszego z edukacji krajowej, pod zgubnym wpływem nieprzyjaciół zostającej, osiągnąć niepodobna⁴.

Wszedł służący, przynosząc tacę z dymiącymi filiżankami. Fryderyk podziękował, Ledóchowski zaś wziął porcelanowe cacko i postawił na stoliku przy swoim fotelu. Zamilkł, czekając, aż lokaj wyjdzie. Chopin domyślił się, w którą stronę zmierza pan Ledóchowski. Słyszał parokrotnie o zamierzeniach i planach kilkunastu wybitnych osobistości wśród polskiej emigracji.

Różnie słyszał. Kiedyś, gdy po kolacji w mieszkaniu przy rue de la Chaussée d'Antin wyszli na przechadzkę, on, gospodarz, ruszył na końcu i wtedy dołączył pan Adam. Słyszał więc od Mickiewicza podczas owego wieczornego spaceru, że trzeba będzie co rychlej utworzyć szkołę polskość, oficjalnie nazywaną szkołą polską. Pan Adam z naciskiem zaznaczał, że będzie ona kształcić nie tylko przyszłych inteligentów, lecz również, czy też przede wszystkim – patriotów oddanych krajowi.

A znowu kiedy indziej był świadkiem rozmowy księżnej Anny z hrabianką Zofią. Księżna Anna powiedziała z wyraźnym przekąsem, że parę osób, nie mogących do znaczenia dojść

⁴ Na podstawie autentycznego przemówienia J. Dwernickiego do uchodźców polskich.

pośród emigracji, znalazło sobie konia z karocą, który miały ich zawieźć na wyżyny. I tak, ludzką szczerą i zapał, myśl narodową i prywatne pieniądze spróbują na osobisty użytek zamienić. Szkole polskiej nikt przecież nie odmówi, a co się przy takiej intencji skubnąć uda, to na zawsze pozostanie czystą korzyścią dla osób wężących dokoła tej sprawy.

Ciekaw był więc Chopin, jaki w tym interes może mieć poseł Ledóchowski, który ani pieniędzy, ani poklasku i znaczenia szukać nie potrzebuje, gdyż ma ich pod dostatkiem.

– Szkołę polską ufundujemy, panie Fryderyku, dzieło na miarę losu narodowego, bo taka będzie przyszłość ojczyzny, jakie pokolenie wychowamy.

– Zgadza się całkowicie z panem posłem.

– Jak miło słyszeć, panie Fryderyku, jak miło.

– A... kto czuwa nad przemianą tej idei w czyny?

Ledóchowski spojrzął na Chopina ze źle skrywaną nieufnością. Wiedział bowiem poseł, w jakich salonach bywa Fryderyk i czyich wysłuchuje opinii. Wszak nie bez przyczyny zawsze jeno hrabianki pobierały lekcje u mistrza fortepianu, za każdą płacąc wygórowane 20 franków.

Musiał teraz wymienić nazwiska ludzi, których nigdy by nie zaproszono na kolację do księcia Adama Czartoryskiego. Pan poseł pochylał się w stronę Fryderyka i mówił odliczając na palcach:

– Pan generał Józef Dwernicki⁵, pan poseł Alojzy Biernacki, pan generał Szynayde, pan poseł Tyszkiewicz, pan Nakwaski, pan marszałek Uszycki, pan Leon Stempowski, pan Górecki, pan Kraiński, który jest wizytatorem generalnym, pan profesor Antoni Michalski, jeszcze inni, prześwietne towarzystwo.

– Sławne nazwiska, domyślam się, że pańskiego nie brakuje.

– To wynika chociażby z naszej tu prowadzonej rozmowy.

– Cieszę się, że miałem zaszczyt usłyszeć właśnie z pańskich ust o tak ważkim przedsięwzięciu.

– Nie bez praktycznej przyczyny – zaśmiał się Ledóchowski. Fryderyk stał się jeszcze ostrożniejszy i pełen lęku, jaką też mu zgotowali rolę, czy aby nie nazbyt kłopotliwą. On, fortepianista i kompozytor, miałby politykować wspólnie z demokratami?... Owszem, pan Adam jest cudownym człowiekiem, chociaż nie dba zbyt o swój wygląd zewnętrzny, generał Dwernicki to bohater spod Stoczka, towarzystwo rzeczywiście miary najwyższej, zresztą poseł Ledóchowski z byle kim nie brata się na co dzień, ale...

– Panie Fryderyku, mamy do pana prośbę.

– Słucham pilnie.

– Idee słuszne i piękne, żeby się w czyn przemieniły, pieniądze wymagają.

Zapadła cisza. Co do pieniędzy, myślał Chopin, nie może być wątpliwości, że da, lecz ile... On, znakomicie odziany, jeżdżący bogatą karocą, on, biorący po 20 franków za lekcję – nie ma przecież pieniędzy i nie zniesie tej myśli, że ktokolwiek mógłby się o tym dowiedzieć. A gdy przyjdzie do uregulowania sumy, cała sprawa wyda się natychmiast.

– Chcemy, panie Fryderyku, urządzić koncert na rzecz polskiej szkoły. Chcemy, aby pan zagrał na koncercie i uświetnił go swoim nazwiskiem na afiszu.

Chopin odetchnął i prawie natychmiast znowu się zakłopotał.

– Ja... nie grywam na publicznych koncertach, panie pośle.

– Wiem.

– I... proponuje mi pan udział w koncercie?

– Tak, panie Fryderyku, śmiemy pana prosić o taką przysługę.

Ledóchowski wstał, podszedł do biblioteki, szperał tam pośród ksiąg i nagle jakby zrezygnował, cofnął się na środek salonu i dodał:

⁵ Józef Dwernicki (1779-1857) – generał, uczestnik wojen napoleońskich; generał w powstaniu listopadowym, dowódca wyprawy na Wołyń; w Paryżu prezes Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej.

– Myślałem, panie Fryderyku, o tym, że nie będzie pan wznawiał swoich koncertów publicznych i domyślam się, że...

– Tak, zrezygnowałem.

– Oczekuję pańskiej decyzji, to znaczy, chciałem się wyrazić inaczej. Oczekujemy pańskiej zgody. Mimo wszystko.

– Rozumiem. A..., jaką mamy pewność, że szkoła będzie otwarta?

– Całkowitą.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Mamy wstępną zgodę władz francuskich oraz niezbędne subsydia.

– Suma z koncertu dość licha, nie pokryje nawet kosztów ogrodzenia terenów szkolnych. A gdzie pieniądze na budynek, plac, opłaty służby, profesorów, dyrektora, internat dla pensjonariuszy...?

– Część tego pokryją datki naszej emigracyjnej społeczności. Co mówię, nie tylko. Nawet szlachetniejsze rodziny francuskie, dla których słowo Polska nie jest pustym dźwiękiem, wspomagają nas słowem i czynem.

– Część to jednak, tylko część.

– Jest i reszta, panie Fryderyku. Słynie pan także jako człowiek dyskretny, godzien zaufania najwyższej miary. Więc chciałbym podzielić się z panem sekretną informacją, uzyskawszy pierwiej zapewnienie, że cała rozmowa zostanie tylko między nami.

– Już je pan otrzymał.

– Proszę, niech pan tu pozwoli.

Fryderyk, zaproszony gestem, zbliżył się do biblioteki. Ledóchowski wyjął z kieszonki mały srebrny kluczyk i otworzył jedną z szuflad. Leżała tam kasetka bogato ozdobiona. Uniósł wieko i przeglądał papiery. Na koniec wyjął pismo kancelaryjne z pieczęciami notarialnymi.

– Tu jest brakująca reszta.

Chopin wziął papier do ręki, szybko przebiegł oczyma. Starał się nie dać poznać po sobie, jakie na nim zrobiło wrażenie. Jeszcze raz upewnił się co do cyfry. Nie było najmniejszej wątpliwości: 28 tysięcy franków.

– Ależ to prawie fortuna – zauważył jakby od niechcienia.

– Zna pan zapewne polskie przysłowie: czym chata bogata. Chopin oddał pismo Ledóchowskiemu i skierował się do wyjścia. Niemal już w drzwiach powiedział:

– Gdyby pan wiedział cokolwiek o terminie koncertu i wyborze sali, proszę mi posłać wiadomość. Będę oczekiwał.

Ledóchowski roześmiał się głośno, szczerze i raczej do swych myśli aniżeli do Fryderyka.

– Domyślam się, w jakim humorze pan wychodzi, drogi nasz Fryderyku, i co pan sobie myśli o Ledóchowskim. To nie ja, mój drogi, nie ja siłą ciągnę pana na estradę, jeno pokolenie przyszłych patriotów. Ja nawet nie śmiem zaprosić pana do swego instrumentu w salonie.

– Więc proszę, za chwilę będę grał – odparł Chopin i wyszedł z gabinetu.

Ledóchowski spojrział w ślad za nim i nieco zdziwiony schował papiery do kasety. Zamknął szufladę i także ruszył do salonu, aby posłuchać szopenowskiej muzyki.

Późnym wieczorem Fryderyk odwoził swego przyjaciela, który mieszkał u druha i towarzysza, porucznika z powstania listopadowego.

Brzozowski obiecał Fryderykowi parę książek i cały plik różnej korespondencji. Mimo

spóźnionej pory zapraszał koniecznie na herbatę, stawiającą podobno na nogi po trudach bankietu, wystawnej kolacji, rozmów i sal zadymionych już to świecami kandelabrow i żyrandoli, już to wonią cygar i cygaretek używanych przez panów w dużej obfitości.

Wieczór był chłodny i chmurny. Zaczęło siąpić drobnym, lecz gęstym deszczkiem, który osiadał kropelkami na latarniach powozu, błyszcząc migotliwie żółtawymi iskierkami.

Miasto zdawało się wyludnione. Jedyne na placu Vendôme, przed bogatą restauracją i pensjonatem, uwijali się stangreci oraz służba hotelowa. Rozbawione towarzystwo opuszczało westybul i głośno się przekomarzając oczekiwało zajeżdżających karoc.

– Ileż tu bogactwa – powiedział Brzozowski.

– A owszem – przytaknął Chopin – myślę, że trochę za wiele, bo się gawiedź z dzielnic południowych i przedmieść smacznie oblizuje na ten specyjał...

– Gawiedź, Fryderyku, burzy się wszędzie, ale nie zaprzeczaj, żeśmy tej gawiedzi sporo winni w naszym kraju. Murem oni stali, gdy o wielką sprawę chodziło, co się zaś tyczy profitów⁶, nijakich im nie obiecywano.

– Ja też nie neguję, jeno zauważam.

– Słyszałem, że pan generał Dwernicki zapisy jakieś poczynił swoim chłopom na Litwie, czyżby to była prawda...?

– Ludzie mówią, a generał nie oponuje. Sam tych zapisów na oczy nie oglądałem i nie pamiętam, abym kogo spotkał, co na pewno to wie.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Deszcz bił o dach powozu, szemrał na jezdni, a z dala nadpływał szum drzew, starych, rozłożystych kasztanów, rosnących po drugiej stronie ogrodów królewskich. Chopin oparł się wygodnie na miękkim wezgłowie i zdawał się być pochłonięty myślami, Brzozowski więc uszanował tę ciszę nocy deszczowej i zadumę utrudzonego przyjaciela. Spozrzegł co prawda troskę na jego twarzy, lecz nie śmiał spytać o przyczynę.

Rzeczywiście, Fryderykowi daleko było do uśmiechu. Więc koncert! Zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie odmówić. A tak bardzo nie chciał grać! Przed kilkoma laty siadał do fortepianu przed oczami milczącego tłumu, w sali z rozjaśnionym podestem. Grał. Nieraz grywał na publicznych koncertach, gdy mu jeszcze sława wielkiego fortepianisty marzyła się przy wieczornych rozmyślaniach w pokoiku ze świecznikiem, rzucającym drżące światło na klawiaturę i papier nutowy.

Z tych koncertów lat trzydziestych wyrósł olbrzym – genialny wirtuoz, przyjacielski, zabawny, zawsze serdeczny Franciszek Liszt⁷. Jakże niewiele tej sławy ulic paryskich zostało dla Chopina. Jego muzyka nie potrafiła rozbudzić entuzjazmu wielkich sal koncertowych. Zdarzało się, że mieszczanie jedli, gdy grał swoje etiudy, zdarzyło się, że kilkoro wyszło do bufetu, aby przepłukać gardła czymś chłodnym... nie, oni naprawdę albo nie rozumieli, albo nie chcieli rozumieć Fryderyka. Był dla nich cichym, zamyślnym, cudownym, obcym poetą – marzycielem fortepianu. Oni woleli gromy i błyskawice przemieszane z misternymi pasażami wirtuozerii Franciszka Liszta.

Ileż to Chopin się natrudził, by odzyskać sławę pierwszego fortepianisty, grając dla zamkniętych kręgów w prywatnych salonach, dla prawdziwych znawców i smakoszy. Czyżby miał teraz jednym koncertem narazić na szwank cały ten paroletni, skrupulatnie uciulany autorytet wielkiego mistrza fortepianu...?

A czuł, że tak może się wydarzyć. W jego umyśle, zdolnym z całkowitą jasnością krytycznie ocenić swoje dzieło, zabrakło miejsca na zwyczajną naiwność i łatwowierną nadzieję. Nikt chyba tak dobrze nie wiedział, jak on sam, skąd się jego niepowtarzalne

⁶ profit (z franc.) – korzyść, zysk.

⁷ Franciszek Liszt (1811-1886) – kompozytor i pianista węgierski; jeden z najbardziej wszechstronnych muzyków XIX w.; kompozycje fortepianowe: koncerty, sonaty, etiudy, rapsodie węgierskie; organowe: oratoria, msze i inne utwory religijne.

mistrzostwo bierze i dokąd sięga. Wielkie sale koncertowe dla paryskich mieszczan to nieodpowiednie sceny dla niego i dla tej kunsztownej, zadumanej, sercem pisanej poezji, którą się na papierze nutowym kreśli.

Sam przecież na koncercie nie wystąpi, jeno w towarzystwie paru świetnych artystów. I zapewne znajdzie się ktoś taki, co pierwszeństwo będzie miał na afiszu, i nie tylko – również w poklasku widowni. On zaś, wielki, samotny reformator muzyki fortepianowej miałby posłużyć komuś jeno za tło i nic więcej...?

A może tak źle nie będzie? Po kilku latach przerwy może jego wystąpienie na estradzie wzbudzi okrzyk radości? Być może...

Kłopotał się więc Fryderyk i walczył z myślami.

Miał ciągle w pamięci owe zapisy, jakie poczynił Ledóchowski. 28 tysięcy franków ofiarować na stworzenie szkoły polskiej to już nie gest, ale prawdziwe przedsięwzięcie, o którym dziesięciolecia będą pamiętały. Jeśli więc Ledóchowski część fortuny przeznacza na ten cel, miałżeby on uczynić coś takiego, co w przyszłości wstydem by powracało w każdej godzinie zadumy...? I nagle przyszła mu ta myśl prosta, która się teraz ułożyła w rządęk paru słów: „Więcej ja wszak potrafię poświęcić, niż ode mnie teraz wymagają”.

Deszcz padał coraz gęstszy. Bębnił w pudło powozu, pluskał w kałużach na skraju jezdni, szumiał w koronach drzew.

Nieliczni przechodnie śpiesznie zdążali każdy w swoją stronę, chroniąc głowy, czym kto miał na podorędziu.

Ciemno było i pan Brzozowski musiał wskazywać stangretowi, gdzie ma skręcić, by trafić w wąską i krótką uliczkę przypominającą raczej peryferyjne zaułki.

Zatrzymali się przed parterowym domem ze starych drewnianych bali.

– Tu gościny zażywam, póki sobie stosownej kwatery nie wynajdę.

Fryderyk chciał zostać w powozie i prosił, by Brzozowski przyniósł mu obiecane książki, starannie okrywszy je przed deszczem. Lecz przyjaciel nie dał mu się wymówić. Obiecał mocną herbatkę, więc teraz miałby z takiej przyjemności zrezygnować? Za nic.

Chopin rad nierad, czując zmęczenie w całym ciele, musiał kaptur narzucić i przejść po błotnistym chodniku.

Brzozowski mieszkał u porucznika, emigranta, jednego z bohaterów powstania sławnej nocy listopadowej.

Porucznik zdążył się być przed laty ożenić z Francuzką i wychowywał syna zrodzonego na obcej ziemi.

Fryderyk najpierw zwrócił uwagę na przygnębiające ubóstwo tego mieszkania. Jakże ono straszliwie różniło się od salonów Ledóchowskiego. Po prostu wydawało się szpetne. Ale Chopin przywykł już do oglądania polskiej nędzy na obczyźnie. Żona porucznika była pracownicą zakładów jedwabniczych, on zaś sam, były oficer polski, był palaczem w tejsze fabryce, przyjęty tam za wstawiennictwem żony w dowód sympatii dla „dzielnych, nieszczęśliwych Polaków”.

Gospodarz dowiedziawszy się, co za gość doń przybywa, zakrzętnął się przy kuchence i wnet buchnął żywy ogień, a czajnik zaczął posykiwać.

Otworzył drzwi do przyległej izby i krzyknął na syna, by co prędzej się ubrał, bo chce go przedstawić jednemu z najsławniejszych ludzi Paryża.

Fryderyk zobaczył chłopca wątłej budowy, z kędzierzawą czupryną i tysiącem piegów na twarzy i ramionach. Oczy miał jasne i żywe, bystro patrzące spod gęstych, długich rzęs.

Odziany był w stary kubraczek, solidnie już sfatygowany, na nogach zaś miał trepy niewiadomego koloru, które już ledwo dyszały ze zmęczenia, tu i ówdzie wystawiając szmaciane jęzorki.

Patrząc na to mieszkanie, jak i na ubiór chłopca, bez trudu można było odgadnąć, że porucznikowi los nie przysparzał dostatków. Zwyczajna bieda wyzierała z każdego niemal

kąta.

Brzozowski tymczasem przygotował paczkę z książkami, korespondencją oraz notatkami z kraju i podróży.

Herbata już była zaparzona. Przysiadł się i porucznik, szczęśliwy, że tak sławnego gościa może w swoim domu oglądać. Znalazły się także konfitury do herbaty. Rozpoczęły się wspominki, opowieści, anegdoty o kraju, zwłaszcza o Mazowszu, jako że i porucznik z tamtych okolic był rodem.

– Jakże ci na imię, piegusku? – zagadnął Fryderyk chłopca.

– *Pardon*⁸....?

– A, to nie rozumiesz po polsku...?

Chłopiec wykonał ruch głową, który można było rozumieć dwojako. Fryderyk więc powtórzył pytanie po francusku.

– Pierre – odparł i czmychnął do kąta.

– Piotr to śliczne imię...

Teraz wtrącił się do rozmowy porucznik. Znać było, że mu trochę wstyd, czynił wrażenie, jakby się poczuwał do winy.

– Oboje z żoną wybraliśmy to imię, pięknie ono brzmi w obu językach. Co się zaś tyczy umiejętności chłopca w posługiwaniu się mową ojczystą, przyznaję z wielką skruchą, żeśmy dopuścili się wielkich zaniedbań. Urwis ledwie że kilka zdań po polsku wypowiedzieć potrafi, rozumie także nie więcej. Natomiast, gdy po francusku z matką spór zaczynają, prześcigając się w prędkiej wymowie, sam słucham, jakbym z innej planety przybył, a mnie nawet zapytać się nie godzi, by ojcowskiego autorytetu po próżnemu nie nadwyreżać. Czasem przychodzą tu rówieśnicy Piotra z ojców Polaków i matek Francuzek. Toż dopiero się zaczyna. To ich prędkie gadanie pełne różnorodnych paryskich powiedzonek do rozpaczki mnie doprowadza. Co z tych dzieciaków wyrośnie... Patrzę na chłopaka i myślę czasami, ni pies to, ni wydra. Nazwisko polskie nosi, a w gębie sama francuszczyzna... Szkoda mi chłopca, bo talencik ma, gdybyż to w Sochaczewie się urodził, w starym domu dziadów swoich, kazałbym tobolek spakować i odwiózłbym go do jakiejś szkoły warszawskiej.

– A cóż ty potrafisz? – zagadnął Fryderyk chłopca.

– Różne rzeczy, proszę pana.

– Co na przykład?

– Gdyby pan potrzebował list jakowyś przekazać w taki sposób, coby się ludzie o tym nie zwiędzieli, to ja mogę w jeden ranek i do St. Denis poskoczyć, z odpowiedzią przed obiadem już być u pana...

– Takiś sprawny w bieganiu z listami...

– Albo, gdyby inną, sekretną misję... wypatrzeć, gdzie kto mieszka, dokąd kto chodzi albo z kim powraca... w takich zajęciach dobrze się sprawię. Chłopcy mogą zaświadczyć. Onegdaj złodziej pojawił się na naszych podwórkach, jam go pierwszy wypatrzył.

– Pierre – skarcił go surowo ojciec – nie o to pytał cię pan Chopin. Ładnie to się prezentujesz, niczym ulicznik jakiś co dniami całymi po mieście gania.

A potem zwrócił się do swych gości:

– Skaranie boskie z tym chłopakiem. Nigdy nie wiadomo, gdzie przepada. Ja do manufaktury idę z samego rana, a ten urwis razem z innymi basałykami plądruje dzielnicę, a bywa, że i do samego ratusza biega i słucha, czego nie należy, patrzy na rzeczy, których się dzieciakom oglądać nie godzi. Wstyd jeno przynosi, aż mi przykro mówić. Porucznik wskazał chłopcu dyscyplinę zawieszoną na ścianie.

– Oto co ci się należy miast gorącej strawy na obiad.

– Niechże pan nie będzie tak surowy, poruczniku – wtrącił Brzozowski – chłopiec zdrow i

⁸ *pardon* (franc.) – przepraszam.

rezolutny, więc nie dziwota, że go w domu trudno spotkać. Ława szkolna z pewnością by go przemieniła, zaiste przykro jest patrzeć, jak się młoda latorośl najwierniejszych mężów Polski na obczyźnie bezowocnie marnuje. Póki tu mieszkam, Piotrkowi zawsze z pomocą przyjdę.

Porucznik zwrócił się do Chopina:

– Naszym zdaniem dziecko ładnie rysuje, nie wiemy jeno, czy się godzi chwalić, i nie mamy nijakiej pewności, czy w błędzie nie jesteśmy, bo to rodzicielskie oczy zwykle widzą więcej niżeli prawdziwa ludzka ocena wskazuje.

– Ciekawe – powiedział Chopin – a cóż on takiego narysował?

– Niby nic ważnego. Obrazki takie, raz kościół z procesją, kiedy indziej targi jarmarczne lub swoich towarzyszy zabaw i biegania po całym Paryżu. Ot, panie mistrzu, historia bez specjalnego znaczenia, lecz gdy patrzę na one papiery zabazgrane ołówkami, coś mnie w nich urzeka. Być może, zwyczajna miłość ojcowska każe mi dostrzegać, czego inni nigdy by nie zobaczyli.

Chopin wstał od stołu, bo już pora była spóźniona ponad wszelką miarę.

Pożegnawszy się z gospodarzem i z przyjacielem, przywołał chłopca i rzekł mu na odchodnym:

– Skoroś taki rezolut i dobrze obznajmiony z dzielnicami tego miasta, nie będę musiał swego Jana z książkami tutaj przysyłać. Zajdź do mnie pojutrze, odniesiesz panu Brzozowskiemu, co dziś pożyczyłem. Weź mój bilecik, masz na nim wypisany adres.

– Tak, tak – ucieszył się Piotrek.

– A nie zapomnij zabrać ze sobą rysunków, bym się należycie zorientował, czy twój ojciec prawdę nam o tobie powiedział.

– Kiedy ja się wstydzę. To są... takie nieudolne bazgrania. Aniołów nie umiem rysować, bom ich nie widział.

Fryderyk pożegnał się i wyszedł, odprowadzony przez gospodarza. Jan pomógł wsiąść paniczowi do powozu i ciemna, zadeszczona noc wchłonęła ich bez reszty. Jeszcze tylko przez jakiś czas słyszało się stukot kopyt na kostce, aż wreszcie wszystko zacichło.

W kilka dni później pan Chopin przesłał do pośła Ledóchowskiego pismo, w którym potwierdzał, że zgadza się na udział w koncercie publicznym.

Piotrek zaś nie zapomniał o swoim obowiązku.

Dobrze już było po dziesiątej, gdy zjawił się na rue de la Chaussée d'Antin. Właściwą bramę znalazł bez trudu. Podobnie jak wszędzie i w tej dzielnicy nie czuł się obco.

Wbiegł na korytarz z głośnym klaskaniem bosych pięt. Po niedawnym deszczu trepy akurat wczoraj wyzionęły ducha. Skierował się ku schodom, lecz właśnie wchodziła na nie kobieta o długich, czarnych włosach i z wielką chustą jedwabną na ramionach. W ręku miała kosz wiklinowy. Nietrudno było zgadnąć, że wybrała się po zakupy.

Obrzuciła Piotrka badawczym spojrzeniem i nagle, wtedy gdy próbował ją wyminąć, schwyciła go za koszulę, o mało jej nie rozdarłszy. Zupełnie się tego nie spodziewał. Chciał uwolnić się od tej ręki, lecz mocno go trzymała. A gdy usłyszał krzykliwy głos kobiety, przestraszył się, bo zrozumiał, że tu z nim nie żartują.

– Chwyciłam cię nareszcie, ty hultaju, ty powsinogo! Teraz ci na sucho nie ujdzie! Marsz na dół, wyśpiewasz nam wszystko. Gdzie są te prześcieradła ze strychu! I co zrobiłeś z dywanikiem, który się wietrzył na podwórzu?! Żyw nie ujdiesz, jeśli te rzeczy się nie znajdą!

I jakby na dowód, że to nie są czcze pogroźki, mocniej zacisnęła rękę na ramieniu chłopca.

Piotrek skurczył się, pochylił i zakrzyknął:

– Dlaboga, proszę dobrodziejki, przecież ja nie złodziej, jeno posłaniec jaśnie wielmożnego panicza...

– Ty mnie próbujesz wystrychnąć na dudka? Lepsi od ciebie starali się, i to jak! A żadnemu się nie poszczęściło. Jaśnie panicz długo musiał szukać na jarmarku, żeby znaleźć coś tak brudnego i obdartego. Może i jesteś posłańcem, ale Belzebuba.

– Kiedy ja...

Nagle spostrzegł, że kobieta spojrzała ponad jego głowę i twarz raptownie jej się zmieniła. Miejsce niedawnego gniewu i oburzenia wypełnił teraz uśmiech pełen skrytego zachwytu.

Piotrek zerknął przez ramię. Zobaczył przed schodami jakiegoś mężczyznę i gdyby miał choć sekundę do namysłu, przyznałby, że to najwytworniejszy pan, jakiego widział kiedykolwiek w Paryżu.

Kobieta natychmiast jąła poprawiać chustę, dygnęła z gracją i przymilnie się odezwała:

– Jak miło znowu pana spotkać, panie Eugeniuszu⁹...

Piotr przemknął pod jej ręką i nie oglądając się, szybko gonił schodami na górę, chwytając się poręczy, aż zaskrzyphiało coś w ozdobnej balustradzie.

Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Niecierpliwił się, a gdy służący Jan uchylił je, szybko wsunął się do środka.

Usłyszał dźwięki fortepianu z przyległego pokoju. Wbiegł nie czekając, aż Jan wypyta, kim jest i w jakiej sprawie ośmiela się wtargnąć do mieszkania mistrza.

Chopin stał przy oknie i wypatrywał czegoś na ulicy. Przy fortepianie siedziała młoda kobieta, bardzo piękna, odziana w kosztowną długą suknię z kolorowej materii.

Piotr przystanął w progu zmieszany i zawstydzony. Spojrzał mimochodem na swoje bose, spękane i brudne nogi. Za późno już było, żeby się wycofać. Pan Fryderyk odwrócił się od okna i spojrzał w jego stronę. Oczywiście, poznał go natychmiast, zmierzył długim, wnikliwym spojrzeniem i Piotrek jeszcze raz pomyślał o swych brudnych nogach i podartych spodniach, które już od dawna prosiły się, by je solidnie wyprać. Wyfryzowana panna przestała grać i także popatrzyła na Piotra z wyrazem zdziwienia i niechęci.

Skłonił się w milczeniu, bo nie miał pojęcia, co by takiego powiedzieć, żeby się do reszty nie skompromitować.

– Zaczekaj – powiedział Chopin – wnet odnajdę książki dla pana Brzozowskiego.

Więc Piotr znalazł sobie miejsce pod ścianą, przyłgnął do niej plecami, jakby w ten sposób próbował się skryć, a w każdym razie, wydawało mu się, że zajmuje możliwie najmniej miejsca i nie ściąga na siebie ludzkich spojrzeń.

W saloniku rozległy się czyjeś głosy, kroki zbliżały się do drzwi.

Piotr ujrzał tego samego mężczyznę, który w tak nieoczekiwany sposób wybawił go z niedawnej opresji na schodach.

Chopin przywitał go jak najserdeczniej. Musieli znać się od bardzo dawna i z pewnością byli bardzo zaprzyjaźnieni.

Obaj czynili wrażenie uszczęśliwionych tym spotkaniem.

– Witam pannę hrabiankę – zwrócił się gość do młodej osoby siedzącej przy fortepianie i wymienił z nią ukłony świadczące o zażyłej znajomości.

Wywiązała się rozmowa o muzyce. Piotr niczego nie potrafił zrozumieć. Domyślił się, że wszyscy troje wyrażają się fachowym językiem artystów i pewnie dlatego używają słów, których znaczenia nawet się nie domyślał. Lecz w chwilę potem Chopin zaczął podziwiać nowy surdut pana Eugeniusza. Dopytywał, z jakiej materii, sprawdził w palcach jej miękkość, ocenił fason i krój. Po czym obaj chwalili jednego krawca, innych zaś ganiać dla przeróżnych przyczyn. Piotrowi najbardziej podobała się niezwykle kunsztownej roboty ciemnobordowa

⁹ Eugeniusz Delacroix (1798-1863) – wielki malarz francuski; portrety (Chopin), pejzaże, malowidła ściennie; krytyk i teoretyk sztuki.

chusta u szyi przybysza, jak również ozdobna szpilka z olbrzymią dekoracyjną główką, zapewne z kosztownego kamienia.

Panna zebrała się do wyjścia. Piotr nie zauważył wcześniej, że w saloniku czekała na nią służąca czy guwernantka.

Panowie pożegnali się z hrabianką, a gdy tylko wyszła, nagle obaj się ożywili. Jeden przez drugiego chwalił ją albo ganił, lub po prostu opowiadał, jaką słyszał ostatnio historię o panie hrabiance, budzącej swymi postępkami nieukrywaną wesołość obu przyjaciół.

Wreszcie pan Eugeniusz spoważniał i znów powrócił do rozmowy o krawcach. Okazało się mianowicie, że odwiedził Fryderyka, by zasięgnąć rady co do wyboru rękawiczek. Nie chodziło ani o kolor, ani o materię, lecz o sam krój. Piotrkowi do głowy w ogóle by nie przyszło, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Ach, byłbym zupełnie zapomniał – wtrącił nagle Eugeniusz – wczoraj wieczorem ciągle o tym myślałem i jeszcze teraz nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Wyobraź sobie, wczoraj na obiedzie u baronowej Françoise spotkałem pannę Rossi.

– Wiem już od dawna, że uwielbiasz jej głos, jako i ja, i wszyscy, którzy wielką muzykę kochają, ale nie słyszałem, żebyś do pani Rossi oczyma kiedykolwiek strzelał...

– Nie w tym rzecz, Fryderyku. Panna Rossi mi powiedziała, że wystąpi z koncertem publicznym, a ty, wyobraź sobie, miałbyś jej towarzyszyć akompaniamentem – Eugeniusz wybuchnął głośnym śmiechem. – Zawsze wydawało mi się, że ludzkie zaślepienie miewa swoje granice, tymczasem ta przezabawna Rossi ze swoją pychą myli własne urojenia ze światem, co się wokoło kręci...

– Więc tak ci powiedziała...? – upewnił się Fryderyk. Teraz dopiero Eugeniusz zorientował się, iż jego przyjaciel wcale nie zanoszą się od śmiechu, lecz przeciwnie, z trudem ukrywa niezadowolone.

– Ejże, Fryderyku, ty coś wiesz, jeno nie śpieszysz się powiedzieć.

– Nie myślisz chyba, że będę akompaniował z estrady tej pięknej wiedźmie...

– Dlatego pękam ze śmiechu, jutro ze śmiechu będzie zataczał się cały Paryż, gdy anegdota przebiegnie ulicami.

– Tak też myślałem, że to się źle skończy... – powiedział jakby do siebie Fryderyk.

– Coś ukrywasz...

– Nic takiego, co bym przed tobą chciał zataić. Zgodziłem się na udział w publicznym koncercie, ot i wszystko.

– Ty...?

– Ja...

– Alboś przesadził z winem, albo ja przestaję cokolwiek rozumieć.

– Koncert ma wyraźną intencję dobroczynną. – Po chwili Chopin dodał tonem usprawiedliwienia: – Nie mogłem odmówić.

Teraz Eugeniusz spoważniał.

– Zaczynam się domyślać. To pewnie wasze polskie sprawy i tarapaty...

– Jakbyś czytał w moich myślach.

– A już nie wierzyłem, że kiedyś wystąpisz publicznie.

– Ja także.

– Dużo będzie gadania w mieście...

– Niestety, masz rację, nic dobrego dla mnie z tego nie wyniknie.

– Tegom nie powiedział, Fryderyku...

– Ale sobie pomyślałeś...

Fryderyk zamilkł i znowu można było wyczytać z twarzy niechęć, a może i coś na kształt rozgoryczenia. Po chwili jeszcze wtrącił, jakby do swych myśli:

– Jenom się nie spodziewałem, że z panną Rossi... Zawezwał Jana i kazał mu co rychlej przynieść książki oraz korespondencję dla Brzozowskiego. Potem zwrócił się do Piotra:

– Uważaj, żebyś tego po drodze nie zgubił. Piotrek ukłonił się i nie śmiał pary z ust puścić, tym bardziej że dopiero teraz pan Eugeniusz zwrócił nań uwagę.

– Na Chrystusa! – zawołał, podchodząc do chłopca. Piotr zerknął w stronę drzwi, lecz były daleko.

– Fryderyku, gdzieżeś ty wytrzasnął takie чудо? Nie słyszałem, abyś z Paryża wyjeżdżał, a tylko na prowincjonalnych jarmarkach takowych się spotyka.

Lecz Chopin nie spieszył się z odpowiedzią i znać było, że wolałby zmienić temat.

Wytworny gość zatrzymał się tuż przed Piotrem, nachylił głowę i bystro się przypatrując, nie mógł ukryć podziwu.

Chłopiec skurczył się, mocniej przywarł plecami do ściany.

– Fryderyku, nie zrobiłbyś mi przysługi?

– Zawsze, wiesz o tym, dlaczego więc pytasz...?

– Myślę o tym piegusie, pożycz mi go.

– Nie mój, więc jakże ci go pożyczę. Ale po co?

– Marzyłem właśnie o takim piegusie z czarnymi nogami.

– Dziwne miewasz marzenia ostatnio.

– Bardzo mi jest potrzebny. Chciałem właśnie kogoś takiego poszukać sobie na ulicy.

Uniósł podbródek Piotra, by się lepiej przypatrzeć jego twarzy, i spytał:

– Czy nie miałbyś ochoty na jednego franka...?

Piotrek zdziwił się niezmiernie i pomyślał, że trzeba dobrze uważać i reżolutnie obrócić językiem, skoro nagle taka okazja... Przytaknął więc bez dłuższego zastanawiania.

– Bardzo dobrze. Zatem przyjdiesz do mnie jutro z samego rana do pracowni. Adres ci napiszę, bacz, abyś go nie zgubił.

– Ja nigdy niczego nie zgubiłem.

– Jaki reżolut – wtrącił Eugeniusz.

– A właśnie – przypomniał sobie Chopin i zwrócił się do Piotrka – gdzie są twoje bohomazy, com ci kazał przynieść?

– Kiedy ja się wstydzę, panie mistrzu...

– Może i lepiej, bo ja klawiaturą biegle władam, a nie kredkami. Jutro, kiedy będziesz wybierał się do pana Delacroix po jednego franka – mówił Fryderyk z uśmiechem – nie zapomnij wsunąć pod pachę tych kartek z bazgrołami, co się tak spodobały twemu ojcu.

I dodał jeszcze kilka słów po polsku, nie będąc pewny, czy zostaną zrozumiane.

– Dobrze by było, żebyś przedtem wlaź do jakiejś beczki z wodą, ze swoimi nogami...

Piotrek schował do kieszeni adres pracowni, schwycił książki, które służący przyniósł właśnie do salonu. Chciał powiedzieć cokolwiek, jak przystało na grzecznego chłopca, ojciec szczególnie mu nakazał, by w apartamencie mistrza Fryderyka godnie się zaprezentował, lecz nic mądrego nie przyszło mu do głowy. A poza tym zdawał sobie sprawę, że beczka z wodą naprawdę przydałaby mu się natychmiast. Ta straszna kobieta nazwała go posłańcem Belzebuba... może w tym coś było...

Ukłonił się Chopinowi, czmychnął na korytarz i po chwili był już na ulicy, bardzo szczęśliwy, że tym razem nie spotkała go żadna przyгода na schodach...

Piotrek znalazł się rano w pracowni pana Delacroix.

Już przy drzwiach przystanął zdziwiony i niepewny, gdzie by tu dalej postąpić choćby o krok. Zdawało mu się, że wszedł do niewielkiego saloniku wspaniałego pałacu lub

królewskiego muzeum, w którym obsunęły się stropy i sufit runął na podłogę. Czego tu nie było...?

Podłogę w całości przykrywał stos najprzeróżniejszych rupieci. Dopiero gdy się dłużej temu przypatrywał, spostrzegł, że każdy z przedmiotów ma jakieś własne przeznaczenie. Kubły i kubelki, wióry, deszczułki, kawałki drewna rzeźbionego na wzór kobiecych warkoczy... Jedne bezbarwne, inne pociągnięte farbą ciemną, mahoniową, złocistą lub srebrną, albo tylko pokostem. Obok różne pisma i gazety, także kolorowe, bo zachłapane farbami. Przyciągała oczy wielka tablica wsparta na trójnogu. Na ścianach przeróżne obrazy, większe, mniejsze, w ramach i bez ram. Niektóre zdawały się być ukończone, na innych tylko parę kresek i plam różnokolorowych, co wyglądały niczym kleksy.

Poczesne miejsce zajmowało spore płótno ustawione w taki sposób, aby światło dzienne padało nań równomiernie i bez refleksów. Były tam malowane kobiety, ale nie francuskie, z południa chyba albo ze wschodu...

Rozdziawił Piotr usta, gdyż czegoś podobnego jeszcze w życiu swoim nie spotkał. Tyle kolorów, tyle barw, tyle odcieni... I jaka przestrzeń, zdawać by się mogło, że obraz posiada swoje wnętrze.

Zdecydował się natychmiast, że nie pokaże swoich bohomazów przenigdy. Jakie to śmieszne! Czego się pan ojciec dopatrywał w jego zabazgranych karteluszkach. Żadnego talentu przecież nie miał, o czym łatwo się przekonać porównując je z czymkolwiek, co tu wisiało na ścianach...

Mistrz krzątał się przy wielkim stole. Prócz farb, najróżniejszych pędzli i pędzelków, leżały tu w nieładzie kredki, rulony papieru, stały filiżanki z niedopitą herbatą.

– Jaśnie pan kazał, abym przyszedł.

Mistrz odwrócił się na moment, obejrzał Piotra od stóp do głów i robił wrażenie, jak gdyby go sobie nie przypominał.

– Jestem Piotr, od jaśnie panicza Fryderyka.

– Przecież cię dobrze pamiętam. W samą porę zjawiliś się w pracowni. Stań tutaj przy stole. Pokaż no się. Coś ty zrobił z włosami?

– Uczesalem, proszę jaśnie pana.

– Widzę, widzę – pan Eugeniusz uśmiechnął się – i spodnie masz załatane, kolana różowe od szczotki... Do niczego mi dzisiaj nie będziesz potrzebny.

– Jaśnie pan się rozmyślił? – Piotr odczuł gwałtowny niepokój, obiecany frank nagle rozplywał się w nicości.

– Wręcz przeciwnie. Portrecik takiego czupiradła jak ty mieści się znakomicie w moim nowym pomysle... Wpadniesz do pracowni, gdy się znowu zabrudzisz i rozczochrasz.

Piotr nie chciał wierzyć własnym uszom. Oto pierwszy człowiek na świecie, który go namawiał, aby zabrudził się do woli. Chwała Bogu, że ojca nie ma w pobliżu.

– Aha... Miałeś rysunki pokazać.

Piotrek wykonał nieokreślony gest rękoma. Mogło to równie dobrze znaczyć, że rysunki się spaliły albo że ich nigdy słońce nie oglądało.

– Więc przyniosłeś czy nie?

– Może kiedy indziej, proszę jaśnie pana.

– Zaczekaj. Chcę cię jeszcze obejrzeć. Myślę, że czasu masz sporo.

– Calutki dzień, proszę jaśnie pana.

Mistrz wyszedł na chwilę bocznymi drzwiami.

Piotr mógł się swobodniej rozejrzeć. Wtedy zaświtała mu wielce praktyczna myśl. Wiedział już, że franka dzisiaj nie dostanie. Ale czy nie można tej straty powetować sobie w inny sposób...? Z pożytkiem dla sztuki. On, biedak, rysuje kredką na kartonikach, skrawkach papieru, gazetach. Tutaj zaś olbrzymia kopalnia wszelakiego dobra. Gdyby tak pożyczyc pędzel i trochę farby, mistrz ani by tego zauważył.

Piotr powiódł okiem dokoła i upewnił się, że artysta zbytnio nie dba o materiał. Pewnie, ktoś, kto się tak wspaniale ubiera i takie cudowne szpile nosi utkane w chustę pod szyją, taki ktoś może dwa razy dziennie kupić sobie beczkę farby i wylać do rynsztoka.

Nagle jego wzrok przyciągnął obraz stojący w kącie pracowni, skryty w półcieniu, przez to mało widoczny. Podszedł bliżej i przyglądał się z ciekawością. Zainteresował go ten obraz. Rewolucyjny sztandar, barykada, tłum i dumna kobieta. Ze zdziwieniem przypatrywał się przedstawionemu obok mężczyźnie z bronią w ręku. Trzymał ją oburącz, palce wspierał na kurku, odziany był po pańsku, ale dosyć niedbale. Rozwiany surdut, pomarszczona kamizelka, kołnierzyk wyłazący spod chusty, cylinder nieco bokiem osadzony, spod którego sypały się bujne, nieuczesane włosy. Piotrkowi wydało się, że zna tego mężczyznę. Wielkie oczy głęboko osadzone, podana ku przodowi górna warga, ten zarys zamyślenia i powagi... to wszystko już gdzieś widział.

Wszedł pan Eugeniusz i teraz dopiero Piotrek zrozumiał. Na płótnie była twarz samego malarza.

– Proszę jaśnie pana... czy pan jest rewolucjonistą?

Delacroix spojrział zdziwiony najpierw na Piotrka, potem na obraz, roześmiał się długo i głośno, choć nie miał tego w zwyczaju.

– Bardzo przepraszam, jaśnie pana... Bo myślałem...

– Jestem raczej buntownikiem niż rewolucjonistą.

– Aha – Piotr zastanowił się przez chwilę. – Czy to nie jedno i to samo?

– Nie. Kiedyś może ci to wytłumaczę.

– A mój papa mówi, że jest rewolucjonistą.

– Naprawdę? I cóż on takiego robi?

– Nic, proszę jaśnie pana. Pracuje w fabryce.

– Ale to chyba nie znaczy, że już przez to jest rewolucjonistą.

– Mój papa jest rewolucjonistą od bardzo dawna. Mnie jeszcze nie było na świecie. Przywędrował z Polski już jako rewolucjonista.

– Jesteś dzieckiem powstańca?

– Szlachcica, proszę jaśnie pana.

– Jedno drugiemu nie zaprzecza.

– Papa był oficerem i ma piękną szablę, i piękny sznur, i wspaniały medal. Z wstęgą.

– Oho, co słyszę, z twego ojca wielki chwyt.

– Na razie papa co ranka śpieszy się do fabryki, ale gdy wróci do kraju, znowu będzie nosił szablę i sznur, i medal na wstędze. A ja będę mieszkał we dworze. Papa mówił, że mieliśmy dworek w pobliżu Sochaczewa.

– Sam nie wiem, co i od kogo, ale nazwa nie jest mi obca. Zapadła chwila milczenia. Piotr znowu spojrzął na obraz, mistrz zaś rozlał kilka różnych farb i mieszał je pędzelkiem. Nagle odwrócił się i powiedział:

– Sochaczew, już wiem! *Monsieur* Fryderyk opowiadał o Sochaczewie. Odnoszę wrażenie, że to jego okolice.

Piotr poczuł się raźniej. Był dumny, że coś jednak łączyło go ze sławnym panem Chopinem. Krajanie, jest się czym pochwalić.

– Czy będzie pan coś przemaalowywał?

– Dlaczego?

– Myślałem, że obrazy jaśnie pana wiszą po salonach co bogatszych i w muzeach.

– Ale ten stoi w kącie, jak sam widzisz, i wątpię, żeby kiedykolwiek znalazł się przed publiką.

– Jaśnie pan nie chce, żeby oglądali pana w cylindrze i z muszkietem...

– Wydaje mi się, że jesteś nazbyt ciekawski.

– Przepraszam.

Jednak pan Delacroix wcale nie czuł się dotknięty. Przeciwnie, najwyraźniej miał ochotę porozmawiać. Nieproszony przez nikogo jał wyluszczać sprawę jak gdyby przed samym sobą.

– Obraz był w salonie. Obrazu dotykała publika paluchami. Przy obrazie kłócili się krytycy i recenzenci. Potem obraz aresztowano. – Słyszałem, że ludzi się aresztuje. Obrazy także?

– Można by tak powiedzieć. Widzisz, w tej sprawie wybuchła cała awantura. Teraz spoczywa w pracowni. Niebawem i stąd go zabiorą i wsadzą pod klucz.

– Niemożliwe. Dlaczego?

– Była rewolucja i wróciło na powrót królestwo. Królowie bardzo nie lubią, jeśli tłum wyrusza ze sztandarem na ulicę i kamieniami obrzuca gwardię pałacową.

– A jak gwardia królewska strzela do ludności, to wtedy jest w porządku?

– To zależy, czym okiem na to spojrzeć. Rzecz w tym, że obie strony bardzo się nie lubią.

– Ja to bym króla hen przepędził. Francuskiego króla i rosyjskiego cara, i wszystkich innych.

– Jaki z ciebie śmiały młodzieniec...

– Ale niech jaśnie pan nikomu o tym nie wspomina.

– Ma się rozumieć, że nie powiem. Obaj doczekalibyśmy się kłopotów.

– Papa mówi, że dni królestwa są policzone.

– Co za fantazja! Boję się jednak, że długo je liczyli.

– Jaśnie pan nie wierzy?

– Ja... Maluję. Ot co...

U wejścia stanęła jakaś postać. Był to posłaniec z wielką torbą przyozdobioną kolorowymi malunkami. Skłonił się parokrotnie nisko, wręczył przesyłkę i z ogromnym zadowoleniem schował nieco grosiwa, którego jaśnie pan artysta nie odliczał.

Mistrz niecierpliwie sięgnął po torbę, otworzył ją, zanurzył dłoń we wnętrzu. Wydobył stamtąd nowy kapelusz. Najpierw przyglądał mu się na wyciągnięcie ręki, potem z bliska, jakby chciał sprawdzić jakość materiału, dotykał go palcami, obracał w jedną, to w drugą stronę. Podszedł do lustra i przymierzył. Snadź podobało mu się. Z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie, zdjął kapelusz, aby go powtórnie z wielką pieczołowitością jeszcze raz nałożyć.

– Fryderyk pięknie z zazdrości – powiedział do siebie.

Usłyszeli hałas przy wejściu, pukanie, szurgot butów, skrzyp drzwi. Od samego progu zaczęła się prawdziwie kobieca gadanina, bez końca.

Piotrek spojrział i oniemiał. Takiego dziwa jeszcze w życiu nie widział. Ni to kobieta, ni mężczyzna. Włosy ma bujne, cienkim głosem wykrzykuje nowiny, a tu męski szalik, kapelusz cudaczny, najprawdziwsze spodnie i... dymiące cygaro w ustach.

Mistrz ruszył na powitanie. Piotrek zorientował się, że musieli być w dobrej komitywie.

W pracowni zaroilo się, jak gdyby wpadło tu co najmniej kilka osób. Frunęły papierzyska ze stołu. Kobieta przeglądała rozpoczęte szkice i rysunki, z pozoru nieuważnie i jakby mimowolnie. Mówiła w tym czasie zupełnie o czym innym. Nagle spostrzegła kapelusz. Zdjęła swój, podbiegła do lustra i przymierzyła.

– Eugène, dobrze mi w tym?

Pan Delacroix nie mógł się zdecydować. Natomiast Piotrek już nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Wtedy dopiero ta dziwna kobieta spostrzegła chłopca.

– O... Jaki miły diabełek. Gdzieś ty go wytrzasnął? Takich spotyka się tylko na przedmieściach, gdzieś w okolicach placu Bastille albo w twoim Champrosay. Nie słyszałam, abyś ostatnio wyjeżdżał na wieś.

– Zgadnij, gdzie go znalazłem? W salonie naszego Fryderyka!

Puściła kilka kłębow dymu, wyjęła cygaro z ust, zwróciła twarz do Piotra.

– Czy nie jesteś przypadkiem Polakiem?

– Jestem.

– Tak sobie właśnie pomyślałam. To by mi wszystko wyjaśniało.

A potem do pana Delacroix:

– Oni w jakiś dziwny sposób odnajdują się w tym przeludnionym Paryżu i wszyscy są sobie przyjaciółmi. Przynajmniej takie można odnieść wrażenie.

– *Madame George*¹⁰, nie mówisz tego chyba z ironią?

– Gdzież tam! Ja ich bardzo lubię.

Mistrz uśmiechnął się dziwnie i jakby ukradkiem.

– Wiem coś o tym.

– No, no... – pogroziła mu palcem.

– Wszak milczę, *madame George*.

– Wracając do tego kapelusza... Myślę, że kupię sobie taki sam. Jest naprawdę twarzowy.

– Z największą przyjemnością ten pani ofiaruję.

– Gdzieżbym śmiała, Eugene.

– Można zaproponować herbatę?

– Herbatę potem. Najpierw chciałabym, abyś obejrzał, co zabrałam ze sobą. Nowe malunki mego syna! – powiedziała z dumą.

Piotr spostrzegł, że pan Delacroix z wyraźną niechęcią spojrzął na cudaczną kobietę. Bez słowa pchnął drzwi do przyległego pomieszczenia, gdzie weszli oboje.

Chłopiec zrozumiał, że pora się stąd wynieść. Obiecany frank przepadł. Może bezpowrotnie. Upomnieć się nie wypada, natomiast jasnie pan artysta wyraźnie pieniędzmi się nie interesował i trudno mieć nadzieję, że sam z własnej woli, nie przymuszony, potrafi o takim drobiazgu sobie przypomnieć.

Ciągle jeszcze miał przed oczyma wizerunek kobiety w kapeluszu, z cygarem i męskim szalikiem. Czuł, że dziś po południu nakreśli jej portrecik. Może coś niecoś zmieni, coś niecoś doda. Powinna się udać całkiem śmieszna karykatura.

Już miał zawrócić do wyjścia, gdy wzrok jego zatrzymał się na stole pełnym wszelakich akcesoriów mistrza. Nie zastanawiał się ani chwili. Podbiegł, chwycił najbardziej stosowny pędzelek i schował pod sweter. Zgarnął kilka kredek, tyle akurat, żeby się zmieściły w garści. Odwrócił się na pięcie i paroma susami dopadł korytarza wiodącego na ulicę.

Po kilku dniach zaczęły się istne nieszczęścia, jedno gonilo za drugim. Piotrek nie mógł się opamiętać, pełen udreki gotów był skończyć z tym wszystkim, czmychnąć z domu albo nawet i z miasta, hen daleko, gdzie oczy poniosą.

Oto znowu pan Brzozowski przygotował kilka książek dla mistrza Fryderyka. Trudno zgadnąć, dlaczego się uparł, że najlepszym sposobem przekazania ich będzie Piotrkowe pośrednictwo.

Chłopak tłumaczył się rozbitym kolanem, bólem głowy, lecz nic nie pomogło. Wmieszał się do wszystkiego ojciec, skarcił ostro, kazał umyć twarz, nogi, ręce, uczesać włosy, wziąć pakunek pod pachę i w drogę.

Piotr zjawił się w mieszkaniu Chopina drżący z niepokoju. Co prawda, przeprawa przez korytarz i schody zakończyła się dla niego pomyślnie, bo tamtej rozkrzyczanej kobiety już nie spotkał. Jednak gdy tylko wręczył służącemu książki, panicz otworzył drzwi do swego salonu i powiedział:

¹⁰ George Sand, właściwie Aurore Dudevant (1804-1876) – pisarka francuska okresu romantyzmu, przyjaciółka A. de Musseta i F. Chopina.

– Rad jestem, że cię widzę. Pan Delacroix, którego wczoraj spotkałem na przejażdżce, dopytywał się o ciebie. Nie masz we zwyczaju robić tego, coś obiecał?

Na Piotrku ścierpła skóra. „A więc wszystko się wydało” – pomyślał. Nigdy by nie przypuszczał, że pan Delacroix potrafi spostrzec, iż z tak ogromnego bałaganu cokolwiek ubyło. A jednak...

– Bardzo przepraszam – mruknął.

– Powiedz to panu Delacroix.

– Kiedy się boję.

– Ja bym się także wstydził.

Piotrek o mało nie roześmiał się w głos. Coś podobnego. Wiadomo, że *monsieur* Fryderyk wstydziłby się ogromnie, i w ogóle śmiesznie pomyśleć, że panicz mógłby ukraść pięć kredek mistrzowi Delacroix.

Uniósł głowę i napotkał surowe spojrzenie Fryderyka.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Kiedy ja wszystko wiem, niech już jaśnie pan nie wypomina i nie pomstuje na mnie. Odniosę.

– Co, jeśli można wiedzieć?

– Owe kredki, pędzelek także oddam.

Zapadła chwila milczenia. Pan Chopin teraz dopiero zrozumiał, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. Spojrzał ze zdumieniem i niedowierzaniem na Piotrka.

– Ukradłeś?!

– Wziąłem, bom potrzebowałem. U jaśnie pana artysty przeogromny zbytek w pracowni...

– Coś wyniósł?

– Pięć kredek i pędzelek.

– Pan Delacroix chwycił cię za rękę?!

– Nic podobnego! Sam sobie wziąłem pod nieobecność i wyszedłem. Skoro się upomina, odniosę.

– Pomyślałeś sobie, że pan Delacroix przykazał, abym cię odesłał razem z kredkami...?

– Miałem usłyszeć coś ważnego.

– Ale ci nie powiem, boś niewart!

Piotrek chciał uciec. Obiecał sobie, że nie pokaże się więcej w mieszkaniu pana Fryderyka. Jeszcze go czeka solidna chłosta w domu i na tym nareszcie wszystko się skończy. Obiecał sobie również, że nigdy w życiu nie sięgnie po cudzą rzecz, chociażby ktoś inny miał jej w nadmiarze.

Stało się jednak inaczej. Panicz mówił:

– Jutro pójdziesz do pracowni mistrza Delacroix! Mistrz oczekuje na ciebie, bo pragnie usiąść z tobą do szkicownika. Nareszcie wziął się do nowej pracy. Opowiesz mu wszystko, jak było, i przeprosisz. Na samym końcu grzecznie się uklonisz i powiesz panu Delacroix, żeby ci jaki niepotrzebny pędzel i trochę farby użyczył... Pamiętaj, że ja to sprawdzę.

– Wszystko będzie, jak pan mi przykazał.

– Zastanowię się. Może w przyszłości będę ci miał coś ważnego do zakomunikowania.

Piotr wyszedł przecierając rękawem oczy. Ze wstydu aż się rozpląkał. Gdyby go panicz skrzyczał i zbił albo kazał uczynić to służącemu, wtedy może wstyd byłby mniejszy. Ale tak...

Gdy biegł schodami pilnie bacząc, czy nie nadchodzi owa kobieta o czarnych włosach, pan Fryderyk z powrotem zasiadł do fortepianu. Nie otworzył klawiatury, lecz sięgnął po papier, atrament i pióro. Pisał drobnymi literkami, równiutko, rząd za rządem:

„Do Excelencji Pana Ledóchowskiego. Szanowny Panie Pośle. Spieszę donieść, że program mego występu na koncercie dobroczynnym jużem w całości opracował. Spodziewam się, że Pan ze swej strony dotrzyma obietnicy. Przy okazji chcę Pana Posła zawiadomić, że mam podopiecznego, syna znakomitego oficera, powstańca, którego pragnąłbym na listę

uczniów polskiej szkoły wprowadzić...”.

Zamyślił się Fryderyk nad listem i nie był pewien, czy jeszcze kilku słów polecających nie wypada dopisać. Przypomniał sobie jeszcze historyjkę o kredkach ściągniętych panu Delacroix. Roześmiał się w głos, aż służący Jan zajrzał do salonu popatrzeć, co się stało.

CZEŚĆ DRUGA

Minęły pełne dwa lata.

Na paryskim przedmieściu Batignolles-Monceau wyrosła i okrzepła szkoła¹¹ dla młodych Polaków.

Zmężniał i wydoroślał również Piotrek. Z mizeroty, piegusa, ruchliwego bąka, szkraba podmiejskich podwórek zamienił się w chłopca i ucznia, o którym głośno mówiło się w szkole. Dwojakię składały się na to przyczyny. Był równie czupurny jak dawniej i nie potrafił ani chwili wytrwać na jednym miejscu, by czegoś nie zmalować mimochodem. Okazało się, że ma talencik nie tylko do rysunków. Rękę miał sprawną także do wielu innych czynności, na przykład do fechtunku. A gdy połączyć upór, czupurność i ambicję z dłonią sprawną i silnymi mięśniami, to i o sukcesy nietrudno.

Uczęszczał do klasy średniaków. Już rozumiał wszystko, co się wokoło mówiło po polsku, nieźle radził sobie z budowaniem zdań w zeszytach i na tablicy, jeno z ortografią miał niemało kłopotów. Ale któż ich nie miał? Chłopcy, najczęściej zrodzeni z matek Francuzek, dziwowali się prawidłom języka polskiego i ani rusz nie mogli pojąć, dlaczego w jednym języku spiętrzyło się naraz tyle zawilności, nie dających się pokonać żadnym sposobem.

Za to w innych przedmiotach Piotrek mógł rywalizować z najlepszymi. Rysunek artystyczny i techniczny, przedmioty wojskowe i topografia, fechtunek i gimnastyka – to były zajęcia dla niego stworzone.

Tego dnia zapowiadała się wielka uroczystość.

Po trzech lekcjach dyrektor zarządził przerwę, a wychowawcy ściągnęli wszystkich do internatu i nakazali mycie i przebieranie. A więc naprawdę – uroczystość.

Piotrek wyjął z szafy surdut i pantalon. Starannie je wyczyścił, wygładził, zrzucił wyświechtany mundurek i z namaszczeniem wdziewał kościuszkowski strój. Potem jeszcze buty sięgające do połowy łydek i rogatywka mieniąca się żywym, czerwonym kolorem.

Wychowawca skinął nań ręką.

– Pierre, pozwól do mnie.

Gdy zbliżył się do swego opiekuna, spostrzegł, że za jego plecami stoi rosły chłopiec. Odziany był dostatnio w czyściutkie ubranie, buciki lśniły, jak gdyby przed chwilą zajechał na Batignolles własną kareta.

– Przybył wam nowy kolega – powiedział wychowawca.

Piotrek uchylił rogatywki.

– Użyczysz mu swojej szafy garderobianej. Pokażesz swoje zeszyty. Będziecie siedzieli w

¹¹ Batiniolska szkoła – liceum polskie na przedmieściu Paryża Batignolles (obecnie dzielnica Paryża) założone w 1842 r. przez polskich emigrantów, wzorowane na liceach francuskich.

jednej ławce.

Piotrek znowu uklonił się w milczeniu. Tamten chłopiec patrzył wzrokiem uważnym, ale chłodnym i zdawało się, że także nieco ironicznie... Nie podobał się Piotrkowi. Ale wychowawca czekał. Więc podali sobie dłonie i Piotr wskazał na szafę.

– Miejsca masz pod dostatkiem.

– Karol. Jestem synem generała.

– Mój ojciec także jest oficerem.

– Przyjemnie słyszeć, że będę w zacnej kompanii – powiedział, jak to mają w zwyczaju dorośli.

– Nie masz jeszcze paradnego stroju?

– Krawiec obiecał, że będzie gotowy na przyszły tydzień.

– A to nie szyją ci w szkole?

– Nie. Trudno mi uszczuplać tę garść pieniędzy przeznaczoną dla sierot.

– Ho-ho! – zawołał Piotr – nareszcie mamy jakiegoś arystokratę.

– Nie arystokrata, lecz wojskowy – skwapliwie wyjaśnił Karol.

– Nie znajdziesz tu innych. Wojskowi, politycy, artyści, doborowe bractwo.

– Słyszałem – zaczął niepewnie Karol – że po uroczystości dla uświetnienia dzisiejszych wydarzeń i dla rozrywki osób zaproszonych z Paryża odbędzie się turniej fechtunku.

– Ma się rozumieć.

– Chciałbym wypróbować swoje siły.

– A toś nam z nieba spadł, bracie! Ja cię zaprowadzę.

– Ty? – zdziwił się Karol – Fechtujesz się?

Obrzucił go spojrzeniem i zdawało się, że powie kilka słów na temat wzrostu Piotrka, który rzeczywiście ledwie mu sięgał do brody.

Czas jednak było schodzić na dół, do sali gimnastycznej, która na ten dzień była odświętnie przystrojona.

W pierwszych rzędach siedziały osobistości zaproszone przez dyrektora szkoły.

Uwagę wszystkich ściągał na siebie generał Dwernicki. Ożywiony, gadliwy i rubaszny toczył wzrokiem dokoła, jakby sprawdzając, czy wszystko w należyтым porządku, czuł się tu bowiem gospodarzem i niemal przybranym ojcem wszystkich elewów¹² strojnych w czyściutkie pantalony i barwne surduty. Pan generał z przejęciem opowiadał siedzącemu obok towarzyszowi coś niesłychanie zabawnego, gdyż obaj głośno się zaśmiewali. Trząsał się generalski szlif na kołnierzu i naramienniku, drżały krzyże i medale, pamiątki sławnych bitew.

Piotrek ze zdziwieniem spostrzegł, że rozmówcą generała Dwernickiego jest Adam Mickiewicz. Wielki poeta nieczęsto zaglądał do szkoły, snadź uprosili go dzisiaj członkowie Rady.

Ale oto dyrektor wszedł na podium i rozpoczęła się uroczystość. Oczy wszystkich skierowały się na popularną i wybitną postać nie tylko Paryża, lecz i całej Francji. Burza oklasków zerwała się, gdy tylko dyrektor wymienił jego nazwisko. Pierre Jean Béranger¹³ uklonił się najpierw dyrektorowi, później generałowi Dwernickiemu, profesorom, zaproszonym gościom i zgromadzonej młodzieży.

– Słyszałeś go kiedy? – szepnął Piotr do Karola.

– Oczywiście, tak sławnego pieśniarza miałbym nie słyszeć...? Zarozumiała ton nowego kolegi zniechęcił Piotrka do dalszej rozmowy, tym bardziej, że zdarzyła się teraz rzecz niespodziewana.

Pierre Jean Beranger wszedł na podium trzymając w ręku osobliwy przedmiot. Z

¹² elew (z franc.) – uczeń, wychowanek.

¹³ Pierre Jean Béranger (1780-1857) – poeta francuski, autor piosenek satyryczno-politycznych, głoszących idee wolnościowe.

najwyższym zdumieniem wszyscy rozpoznali w nim zwyczajną motykę.

– Pragnę wam ofiarować drogi talizman, który z należną czcią był dotychczas przechowywany w moim domu. Ale myślę, że nie ma bardziej zacnego miejsca dla złożenia tej pamiątki niż wasza szkoła. Oto jest motyka, którą własnoręcznie posługiwał się *notre célèbre héros*, Kościuszko, *pendant son séjour dans les environs de Fontainebleau*¹⁴.

Teraz dopiero wszyscy zrozumieli sens uroczystości. Wśród huku oklasków generał Dwernicki odebrał cenną pamiątkę, sam zaś wręczył sławnemu poecie honorowy dyplom Komitetu Polsko-Francuskiego, założonego ongiś przez sławnego La Fayette'a¹⁵.

Po kilku jeszcze przemówieniach, wśród których nie zabrakło także słów Adama Mickiewicza skierowanych do elewów, rozpoczęły się popisy młodzieży.

Gdy chór śpiewał na scenie patriotyczne pieśni, Piotrek znalazł się w przyległym pomieszczeniu. Razem z kilkoma innymi chłopcami zrzucali odświętne kościuszkowskie stroje. Czyściutką, świeżo z pralni przyniesioną odzież sportową dzielili między sobą. Instruktor i wychowawca otworzył z klucza szafę, w której błyszcząły klingi ćwiczebnych szpad.

Turniej składał się z dwóch części. W pierwszej mieli wystąpić najstarsi uczniowie, najlepsi spośród najlepszych, biegli w szpadzie i w szabli niczym dorośli oficerowie. Później zaś do walki staną średniacy.

Nowo przybyły syn generalski bez większych trudności uprosił wychowawcę, aby mu wolno było zmierzyć się w czasie tego turnieju.

Piotr gotów był już do wyjścia. Bez emocji obserwował czynności swoich starszych kolegów. Patrzył na szpady, jakby chciał wzrokiem wyważyć ich ciężar i długość. Był spokojny jak zawsze. Fechtunek w sali gimnastycznej to dla niego nie pierwszozna. W swojej klasie nie miał sobie równych, dlatego instruktor stawiał go do walki przeciwko starszemu chłopcu. Przeciwnicy wyżsi byli o głowę, mieli dłuższe ręce, dłuższy doskok, no i więcej siły, ale Piotrkowi udawało się jakimś nagłym zaskakującym rzutem do przodu przesliznąć się poprzez gardę i skutecznie trafić.

Instruktor wprowadził całą grupę do sali szczelnie wypełnionej gośćmi oraz uczniami.

Karol walczył przed Piotrem. Jego przeciwnikiem był chudy, wysoki Antoine. Karol bez trudu rozciągnął go trzy razy i teraz przyszła kolej na Piotra. Naprzeciw niego stanął Tomasz, który przed kilkoma miesiącami przybył do szkoły z Lyonu. Poradził sobie z nim w ciągu paru minut. Na lekcjach fechtunku kończyło się to zwykle w podobny sposób. Tomasz nie wytrzymał napięcia, błyskawiczne, zwinne, kocie ruchy Piotrka już po niedługim czasie były dla niego wręcz niemożliwe do opanowania.

Po krótkim odpoczynku dwaj zwycięzcy zmierzyli się ze sobą.

Karol pewien był swojej ręki, szpady, umiejętności i doświadczenia. Górował nad Piotrkim wzrostem, a jego dłuższe ręce zdawały się zapewniać mu zwycięstwo. Dlatego ruszył do ataku z wyraźną nonszalancją. Pracował szpadą jakby od niechcenia.

Piotrek sparował kilka pchnięć, odskoczył do tyłu i patrzył, co będzie dalej. Zdawał sobie sprawę, że przechwałki Karola nie były zupełnie gołosłowne. W sali ucichło. Uczniowie z ciekawością przyglądali się nowo przybyłemu. Goście także śledzili pilnie, co się dzieje na podium, być może zaintrygowała ich ta dziwna para. Rosły, dobrze zbudowany chłopiec, nieco flegmatyczny, opanowany, spokojny i pewny siebie, przeciwko małej, skłębionej kuli nerwów. Czupryna Piotrka chwiała się na wszystkie strony, stopy nieustannie przesuwały się to w przód, to w tył. Szpada w ręku lekko drgała, zakreślając w powietrzu jakieś niby magiczne znaki.

¹⁴ *Notre célèbre héros*, Kościuszko, *pendant son séjour dans les environs de Fontainebleau* (franc.) – nasz sławny bohater, Kościuszko, podczas swego pobytu w okolicy Fontainebleau.

¹⁵ Marie Joseph La Fayette (1757-1834) – francuski polityk i generał, uczestnik walki o niepodległość Stanów Zjednoczonych, przyjaciel Polaków.

Atak Karola, silne cięcie, w moment później następne i... trafienie.

Piotr cofnął się i głęboko odetchnął. Sztuczka była piękna i cios dobrej marki. Ale już wiedział, jak sobie z tym poradzić. Drugi raz nie da się na to nabrać.

Znowu atak Karola, sparowanie szpad, odskok do tyłu, atak Piotra, znowu ostre cięcie i... trafienie.

Pomruki w sali. Czyjeś pokasywania, szeptem czynione uwagi w pierwszych rzędach foteli.

Piotr otarł twarz wierzchem dłoni. Ta kolejna sztuczka znowu go zaskoczyła. Doskonale rozumiał, że z Karolem nie ma żartów. Jeszcze jedno trafienie i koniec. Czyżby nie zdołał odpowiedzieć ani jednym skutecznie zadany pchnięciem...?

Ale nie czas na rozmyślanie. Ledwie co odsapnął, zaczerpnął głęboko powietrza, gdy Karol znów zaatakował.

Mocne cięcie krzyżowe, chwila bezruchu przy sparowanych klingach, odskok Piotra i Karola. Lecz w oka mgnieniu Piotr spostrzegł, że szpada Karola jest nieco wyżej uniesiona. Błyskawiczny rzut ciałem, naprężona ręka, krótki niedostrzegalny zwód klingi, pchnięcie...

Udało się!

Okrzyki pośród uczniów i szmery cichaczem robionych uwag w pierwszych rzędach.

Karol miał tak zdziwioną minę, jakby przewrócił się na prostej drodze.

Po krótkim odpoczynku zaatakował z furją, pełen zniecierpliwienia i wściekłości. Na to tylko czekał Piotrek.

Kocim ruchem wywinął się tuż pod szpadą przeciwnika, sparował ją w bok i ledwie, ledwie, samym koniuszkiem dotknął piersi Karola. Po dwa trafienia z obu stron! W sali zakotłowało się. Instruktor nie mógł przez dłuższą chwilę uciszyć chłopców. Nareszcie można było dalej prowadzić walkę.

Teraz Karolowi już tak się nie śpieszyło do zwycięstwa. Nachylił się do przodu, mierzył wzrokiem szpadę przeciwnika, koncentrował się długo, pełen rozwagi, skupienia.

Piotr skoczył do ataku, ale tym razem on prezentował swoją sztuczkę, atak był tylko wabikiem. Gdy Karol gotów był do sparowania ciosu, Piotr gwałtownie zatrzymał się i cofnął. Przeciwnik ruszył do kontrataku. Piotr jeszcze raz odskoczył, skupił się i jeszcze bardziej zmałał, wywinął się bokiem tuż obok szpady Karola i w długim susie, padając na podłogę, zadał trzecie trafienie.

Zerwała się burza oklasków.

Z pierwszego rzędu dobiegł na podium pomruk generała Dwernickiego:

– Mały diabeł!

Nazajutrz po lekcjach Piotr przywdziewał wyjściowy mundurek. Karol odsunął na bok swój zeszyt, spojrzał pytająco i ze zdziwieniem powiedział:

– Jak to, wychodzisz? A co z rewanżem?

– Przecież nie uciekam ze szkoły. Zmierzymy się jutro w czasie lekcji fechtunku.

– Rejterujesz, miły bracie!

Piotr sięgnął do szuflady i wyjął stamtąd karteluszek zapisany czerwonym atramentem.

– Przeczytaj sobie, mam dzisiaj umówioną wizytę. Sam pan dyrektor zwolnił mnie ze względu na osobę zapraszającą.

Karol przebiegł pismo wzrokiem, wrzucił do szuflady, pokręcił głową, był wyraźnie zdziwiony i nie wiedział, jaką przybrać minę.

– No, no... Cóż ty, nająłeś się u znanego artysty do noszenia wiader?
– Pan Delacroix nie hoduje w pracowni królików.
– Więc co tam będziesz robił?
– Pojęcia nie mam, nie widziałem się z mistrzem Delacroix już od kilku miesięcy. Nagle mnie zawezwał.

– Skoro mistrz prosi, więc nie ociągajmy się dłużej, jeno chodźmy... I Karol otworzył swoją szafkę, by wyjąć granatowy płaszcz ze złotymi guzikami.

Piotr oniemiał ze zdumienia. Nagle okazało się, że jest zaproszony razem z Karolem! Bezcelność tego chłopca nie miała granic. Nie widział, co ma z tym zrobić. A może zwyczajnie trzepnąć Karola w ucho. Może nie fechtunki, nie turnieje, ale zwyczajny kuksaniec jest mu potrzebny...?

Karol, jakby czytając w myślach Piotrkowych, nagle zrobił niewinną i zdziwioną minę.

– Przecież wychowawca polecił ci pieczę nade mną. Nie zostawisz mnie samego? Nigdy w życiu nie byłem w pracowni mistrza Delacroix.

Poszli więc do śródmieścia razem.

Droga im się dłużyła, było chłodnawo, jak zwykle na przedwiośniu dmuchało wiatrem wilgotnym, niemiłym, lepiącym się do włosów. Od paru dni pogoda nad Paryżem zrobiła się iście angielska. Karol zatrzymał się przed zajazdem. Chwycił Piotra za rękę i wprowadził do środka. Tam zjedli po talerzu gorącej zupy i od razu poczuli się rażniej. Płacił Karol, oczywiście za dwie zupy. Po raz pierwszy chyba Piotr gotów był przyznać, że ten nowy uczeń, generalski syn, może nie będzie w przyszłości skończonym durniem i sobiepankiem.

– Wyrobisz się – powiedział zniecka.

– O czym mówisz? – spytał Karol.

– O tobie.

– Bo myślałem, że o nas.

– Zgoda. Niech i tak będzie.

Resztę drogi przebyli opowiadając sobie nawzajem koleje swego niedługiego życia.

Pan Delacroix znowu rozłożył kartony, całą kolekcję czarnych kredek i najwyraźniej zamierzał rozpocząć szkice do obrazu. Być może, tego samego, który chciał namalować przed dwoma laty. Więc Piotrek znowu okazał się potrzebny. Mistrz zapytał o postępy w rysunkach.

Jak zwykle Piotr nie wiedział, co odpowiedzieć, przestępował z nogi na nogę, odwracał głowę, jakby nie do niego było pytanie i nie we francuskim języku.

A potem sam nie wiedział, jak to się stało.

Było tak. Mistrz Delacroix chciał, by Piotr przychodził do pracowni każdego popołudnia. To wydawało się zupełnie niemożliwe. Szkoła, lekcje, nauka, egzaminy przed zakończeniem roku. Minęły już czasy, gdy Piotrek ganiał bez celu z jednego przedmieścia na drugie. Teraz paradował w czerwonej rogatywce, pięknym surducie i czyściutkich pantalonach, ale za to nie miał czasu. Od słowa do słowa nagle okazało się, że pan Eugeniusz zamierza spakować kufer, że wyjeżdża z Paryża do swej ukochanej wioski Champrosay.

– A może byś, Pierre, odwiedził mnie w czasie wakacji? Nie wiem, czy będziemy mieli wiele czasu na szkice, portretowanie i rozmowy o malarstwie, ale odetchniesz wspaiałym powietrzem francuskiej wsi.

Wtedy właśnie odezwał się Karol:

– Oczywiście, panie mistrzu. Przyjedziemy zaraz po egzaminach, jeśli tylko pan artysta

będzie tak łaskawy...

Chciał Piotrek zapytać, co to znaczy „przyjedziemy”, gdy Karol miał już gotowy plan.

– Pan artysta zgodzi się, abyśmy w jego sadzie rozbili namiot? Mam prawdziwy namiot oficerski подарowany mi przez ojca. Nie mogę doczekać się okazji, aby go wypróbować. Jedziemy więc do Champrosay i rękę słowem honoru za mojego kolegę, że nie przyniesie... to znaczy nie przyniesiemy panu mistrzowi wstydu.

– Nie mam nic przeciwko temu – zdecydował pan Delacroix.

Dyliżans zatrzymał się przy maleńkiej karczmie dłużej niż zazwyczaj. Wysiedli z niego Piotrek i Karol. Zanim odebrali z dachu bagaże i cały sprzęt, służba poczęła się niecierpliwic. Stangreci popędzali ich głośnymi okrzykami: „Prędziej, marudy, prędziej”.

Karczmarz witał przyjezdnych, obsługiwał konie i służbę i kłócił się ze swoją żoną. W kuchni obok poczekalni żona karczmarza sprzedawała piwo, wino, chleb i mięsiwa oraz cukierki. Poza tym był tam jeszcze mały budynek wzniesiony z kamieni, dalej stajnie, śliczne i dumne topole.

Kilka osób zgromadziło się przy bufecie. Prawie wszyscy zabrali na drogę nieco grosza. Niektórzy więc postanowili zrobić z niego pierwszy użytek. Kupowali piwo, które bardzo im smakowało po kilku godzinach jazdy w dusznym dyliżansie.

Piotr ułożył starannie tobołki na ziemi, stanął przed karczmą. Obok wśród poletek ziemniaków, kapusty i cherlawych słoneczników stał samotnie żółty dom ocieniony winoroślą.

Drogą wykładaną kocimi łbami zbliżała się bryczka zaprzężona w karego konia w białe łąty. W bryczce siedział jakiś starszy człowiek w zielonym kapeluszu, obok niego zaś dziewczynka.

Pojazd zbliżył się już do karczmy i zatrzymał na wprost drzwi. Z poczekalni wyszła kobieta w płaszczu, z ciężkim kufrem i całym mnóstwem różnych drobiazgów. Przyjechała tym samym dyliżansem co chłopcy. Dziewczynka zeskoczyła z bryczki i podbiegła do kobiety. Widocznie była to mama, gdyż powitanie trwało długo i było bardzo radosne.

Dziewczynka miała na sobie krótką granatową sukienkę z kołnierzykiem wiązany pod szyją na kolorowe tasiemki. Nosila białe pończochy i błyszczące, nie zakurzone pantofle w kolorze sukienki. Długie, jasne włosy luźno opadały na plecy.

Piotr ciekawie przyglądał się temu wszystkiemu. Woźnica wstawił kufier do pojazdu, mama z córką usiadły z tyłu i bryczka ruszyła. Jeszcze przez chwilę widział jasne włosy dziewczynki rozrzucone na plecach, a gdy odwróciła się, mógł dojrzeć roześmianą twarz, miłą, żywą i może trochę figlarną.

Powozik oddalał się w stronę pierwszych domów wioski. Na polach zaś pobrzękiwały kosy i zboża błyszczały w słońcu jak rozgrzany piasek.

Z naprzeciwka wykołysało się stado gęsi. I Piotr pomyślał, że mama chyba miała rację, że wieś to zupełnie co innego niż ich cuchnąca dzielnica. Gęsi zatrzymały się tuż przed jego butami. Zadarły szyje i tyły oczkami w górę. „Czego one chcą ode mnie?” Machnął nogą, aby je odpędzić. Zdziwił się bardzo; jedna z nich dziobnęła zelówkę. Snadź posmakowało, bo dobrała się na całego do sznurowadeł. Był tym całkowicie zaintrygowany i nie przyszło mu na myśl, że przezornie należałoby raczej wycofać się w stronę karczmy.

Stał tak dosyć długo i gapił się. Oczy razila piaskowa barwa pól okrytych żółtawym słońcem. Sznurowadła zostały zniszczone, zanim spostrzegł w dali rdzawą chmurę kurzu.

Zbliżała się do zajazdu. Usłyszał gwizdanie Karola.

– Co to za gęsi? – zapytał.

– Nie wiem. Same idą za mną. Poszarpały mi sznurowadła. – Piotr dźwignął z ziemi tobolek. Oparł go o ramię i czekał. Karol coś mówił, ale nie było słyhać, gęsi zaś dobrały się do jego butów i szybko targały sznurowadła. Zabawnie było patrzeć na te białe ptaszyska.

Karczmarz wybiegł z budynku i wrzasnął:

– Szkaradne bydlaki! Nawet paniczom nie darują sznurowadeł. Diabeł je opętał. Poszły! Psiawelny! Hej, matka! Zabierz gęsi, bryczka nadjeżdża.

Tęgawa żona karczmarza wybiegła ze szmatą i pędziła stado, które rozproszyło się po dziedzińcu.

– Stary – krzyknęła— zamknij bramę, bo te diabły nieprędko zapędzę!

Bryczka wjechała. Woźnica rozpoznał chłopców. Szybko załadował bagaże.

Zboża, krzewy porzeczek, agrestu, sady pełne drzew owocowych, znowu żyto cięte kosami, upał i kurz zgrzytający w zębach, strzeliste topole – wszystko to zostawało w tyle. Droga była nader wyboista. Chłopcy wypatrywali, czy nie widać obiecaną rzeki.

Zaczęły się wypłowywać od słońca łąki.

– To musi być niedaleko – sądzili.

Jakoż po kilkunastu minutach woźnica zatrzymał się na skraju wioski. Spomiędzy zielonych drzew wynurzał się pięknie zbudowany dworek, coś niczym letnia rezydencja panów stale przebywających w Paryżu.

– To znana pustelnia mistrza Delacroix.

– Czy pan artysta jest w domu? – spytał Karol służącego.

– Spodziewamy się lada kwadrans. Wyjechał w goście, nie jest wykluczone, że tam przenocuje. Co się tyczy was, mamy specjalne poruczenie od jaśnie pana. Zaraz pomożemy wam się rozlokować. Podobno życie rycerskie chcecie wieść pod namiotem wojskowym?

– Tak, ma się rozumieć – skwapliwie podchwycił Karol. Piotr skinął głową na znak, że to już dawno uzgodnione.

– A gdzie ta obiecana Sekwana? – pytali przyjezdni.

– Jest obok, zaraz za stodołami.

Słońce sięgało już tylko do połowy topoli, więc wszyscy energicznie chwycili za kołki, brezent i łopaty.

Z dworku wynieśli prycze. Wkopana żerdź objuczona ciężkim brezentem chwiała się lekko, chłopcy naciągali sznury i wbijali paliki. Zawiesili przed namiotem przywieziony emblemat z orłem. Obiecali sobie, że jutro umieszczą go na specjalnym paliku dobrze wkopanym w ziemię. W czasie rozwiązywania tłumoczków zapanowała prawdziwa atmosfera wakacyjna. I jak to zwykle, wszystko zaczęło się komplikować. Czyje są skarpetki, kto naprawdę miał ze sobą te nowe ręczniki, a komu się tylko wydawało.

Później wyszli, by odnaleźć rzekę i obmyć spocone ciała. Słońca już nie zobaczyli, za to wiatr ogarniał ich nagie barki i plecy rzeźwym smaganiem. Wspinali się piaszczystym wzgórzem, a później podmokłą łąką szli do rzeki.

Galerie drzew obsiadły brzegi. A za nimi daleko rozciągały się szuwały zielone albo koloru dojrzałej pszenicy.

Na brzegu rzeki zrzucili spodnie i buty. Zsunęli się do wody. Piotrek zanurzył się po pas, dobrnął do kamienia sterczącego nad taflą. Ułożył na nim ręcznik. Długo oblewał się wodą. Wcale nie miał ochoty sięgnąć po mydło ani wyjść na brzeg. Woda była chłodna, miała temperaturę powietrza po upalnym dniu żniwnym. Wydawało się, że zapach świeżo skoszonych zbóż zawisł nad Sekwaną. Wiatr przynosił z drugiego brzegu woń zbutwiałych szuwarów i gnijących traw.

Piotrek spojrział ku zachodowi, a później na rzekę. Nasiąkała barwą nieboskłonu. Jakby ktoś sypnął płatkami malw, które drgały na grzbietach maleńkich zmarszczek tafli. Wielkie

słońce przypominało pisanek zanurzoną w różowej farbie. Jego dolna krawędź wsparła się o brunatną smugę lasu. Ale nie na długo. Rozgrzana całodziennym upałem ziemia wchłonęła spłaszczoną tarczę. Upał, który brzęczał jeszcze i drgał ponad polami... pożarł słońce.

Chłopiec namydlił dłonie i przytknął do twarzy. Zanurzył głowę w wodzie. Opadł na wznak i drobnymi ruchami dłoni unosił się na powierzchni.

Pomyślał, że przyjechał właśnie po to, by leżeć wyciągnięty w wodzie i czuć zupełnie wyraźnie, jak odpoczywa całe ciało. Obiecał sobie, że każdego wieczoru będzie spędzał możliwie najwięcej czasu nad rzeką. Powrócił na brzeg. Wytarł do sucha włosy, wciągnął spodnie i buty. Gładził palcami wilgotne kępy traw.

Wracali. Przed oczyma Piotrka chybotąca biała płachta ręcznika zarzuconego na plecy Karola. Pod stopami cmokała mokra łąka. Głośno rechotały żaby, niekiedy słychać było koniki polne.

Wieczne rozmowy trwały bardzo długo, jeszcze dłużej niż kolacja w izbie czeladnej dworku.

Szczupły ognek świeczki ledwo dotykał ścian brezentu. Piotrek wyciągnął się na skórze i patrzył, co robi Karol. Wdziewał wełniany sweter. Cichaczem szykował się do wyjścia.

– Skoczę do wsi poszukać dobrych jabłek. Widziałem tu niedaleko, zaraz za stodołami.

– A co będzie, jak się wyda? – zapytał Piotr.

– Dlaczego ma się wydać. Skoczę raz dwa i będą jabłka. Przyniosę i dla ciebie. Mówili mi w domu, że należy jeść owoce, nie?

– No, to idź.

Piotr ułożył się na pryczy. Przymknął powieki, choć nie był senny mimo podróży. Karol był już gotów do wyjścia.

– Słyszysz, jak rzeka szumi? – spytał go Piotrek.

– Głupi jesteś. Wiatr chodzi po drzewach i brezencie.

– Mnie się wydaje, że to rzeka...

– Głupi jesteś – przerwał mu Karol i wybiegł.

Piotr obrócił się na bok, żeby obserwować szary wykrój wejścia do namiotu. Opuścił rękę i palcami namacał trawę.

Uciszało się. Zajrzał stróż, błysnął latarnią i kazał szybko zasnąć. Wyglądało na to, że nie spostrzegł pustego legowiska Karola.

Świeczka dogorywała.

Piotr poszukał stopami swych butów. Wyszedł z namiotu. Noc już się wygwieździła. Z pobliskiej drogi dobiegał turkot furmanki, miękko człapał koń. Gdy ucichło, słychać było szum wiatru. W dali coś jakby szybowanie ptactwa. To była rzeka. Słyszał ją wyraźnie i chciwie wyciągał głowę w stronę, skąd płynął wiatr. Pachniało sadem.

Znowu ten stróż... Nadchodził z latarnią w dłoni.

– Ty czego? – spytał.

– Załatwić się.

– Hulaj, ale prędko, bo zaraz psy wypuszczę.

Pobiegł na skraj ogrodzeń. Potem znalazł się na piaszczystym wzgórzu, brodził przez zamgloną łąkę, aż zatrzymał się nad brzegiem Sekwany. Tafla gładka i śpiąca wysrebrzyła się z brzegów, w głębi ciemniała nabrawszy metalicznej barwy. Odwrócił się. Przed nim ciągnęły się łąki. Tam w dali musiały być kartofliska, a jeszcze dalej – strumień i mgła.

„Czekam na coś, lecz nie wiem, na co” – czy ktoś doń mówił, czy tylko jemu tak w głowie? Wokół nikogo nie było. Sady, za plecami woda, a z przodu łąki, opodal dworek. Niebo z gwiazdami. Dalekie szczekanie psa. Karol poszedł na jabłka. Ale pies czekał zapewne tylko tak sobie. Teraz wiedział, gdzie jest strumień. Zajadłe rechotanie żab jeszcze bardziej pogłębiało ciszę letniej nocy. Przypomniał sobie, że za dnia wszystko wokół było żółte, w kolorze promieni słonecznych. Naraz jakby usłyszał ten turkot bryczki oddalającej

się w stronę wiejskich zabudowań i zobaczył granatową sukienkę, jasne włosy luźno zarzucone na plecy, a potem, gdy zwróciła głowę, tę figlarną, śmiejącą się twarzyczkę.

„Mówiła mama, że tu wszystko będzie inaczej”. Właściwie niczego nie chciał, tylko żeby takich wieczorów jak ten było więcej, więcej... Na policzkach wyczuł chłodne krople nocnej rosy.

Usłyszał nawoływanie stróża. Zaczął biec szybko w stronę namiotu.

Było jeszcze ciemno, ale przez wąskie szpary w brezencie wsączało się nagle światło. Obudził się. Powiódł nogą po legowisku. Czuł chłód i wilgoć. Wstrząsnął nim dreszcz. Rękoma pomacał okrywające go skóry. Tu i ówdzie były mokre. Koszula także miała mokre rękawy.

Leżał chwilę bez ruchu i słuchał. Deszcz walił w dach i ścianę namiotu, a ciężkie krople spadały na pościel.

– Halo, Karol!

Z niechęcią wysuwali nogi spod baranich skór, wstawali wolno, przecierając oczy. W samym rogu znaleźli nieco miejsca zupełnie suchego. Ściągnęli tam prycze.

Zauważył, że jego towarzysz straszy dużym sińcem pod okiem i kilkoma mniejszymi na szyi i ramionach.

– Co się stało? – trącił Karola dłonią.

– Fatalna sytuacja – mruknął nie otwierając oczu. – Świetne mają tu papierówki. Ale oberwałem, bo pilnują sadów. Kto słyszał, żeby sadów pilnować. Narwałem wspaniałych jabłek, ciężkich i soczystych i kiedy przeleżałem przez płot, napadli znienacka. Chcesz jabłko?

– Nie. Potem spróbuję.

– Weź. Okupione moimi siniakami i krwią własną z łokcia.

– Zjem, gdy wrócę, teraz muszę wyjść.

– Idź, tylko uważaj. Niewykluczone, że czatują wokół płotów i gotowi pozdrowić cię kamieniem.

– A to piękna nadzieja na przyszłość.

– Jeśli pójdziemy obaj, wlepimy wsiowym chłopakom tak, że sami będą przynosili owoce i prosili, żeby wziąć. Coś, bracie, jak Krzyżacy w hołdzie lennym.

– Marzyciel! Obejrzyj sobie swoje oko!

– Oko to głupstwo. Dzisiaj wieczorem nad wioską tylko kamienie będą gwizdać i trzask patyków będzie się rozlegał. Zobaczysz, jakie lejty im spuścimy.

– A co na to pan Delacroix?

– Ja myślę – mówił Karol – że i tak przyjdą na skargę jeszcze przed śniadaniem, to już wszystko jedno.

Piotr owinał się baranią skórą i wyszedł przed namiot. Już prawie było widno. Rozejrzał się, czy nie spostrzeże czegoś podejrzanego. Ale wydało mu się, że naokoło jest tylko cisza i ten deszcz. Potem, gdy wrócił, usnął jeszcze, bo śniadanie było spóźnione z powodu deszczu. Minęło w isticie grobowym nastroju. Deszcz przestał co prawda padać, ale ciągnął przejmujący chłód, a chmury pełzły nisko i zaczęły o topole. Wydawało się, że na dworze jest jakoś tak obco i paskudnie...

Siedzieli w izbie czeladnej. Zastanawiali się, co począć. W sąsiednim pomieszczeniu służący rechotali z czyichś psikusów.

Przedpołudnie minęło w całkowitym spokoju. Większy chłopcy jeszcze nie przyszli na skargę. Karol i Piotrek z niepokojem oczekiwali, że mogą się pojawić lada chwila. Najgorsze rzeczy przychodziły im do głowy. Że na przykład kamerdyner zbierze ich tobołki, wsadzi na bryczkę i odwiezie do dylizansu. Tam najpierw gęsi zjedzą im sznurowadła, potem zaś nadjedzie wóz i tyle będzie z dalszych wakacji. Albo może się zdarzyć jeszcze gorsza historia. Pan Delacroix napisze listy do rodziców, aby się zjawili natychmiast. Łatwo sobie wyobrazić takie spotkanie z tatusiem i mamusią, którzy specjalnie tłukli się dylizansem parę godzin, żeby odebrać synka z dworku zaraz po pierwszym dniu wyprawy.

Piotrek poradził Karolowi, żeby przyłożył do twarzy mokre liście bobkowe, ponieważ ściągają gorączkę i opuchliznę.

Wtedy zjawił się służący.

– Pierre, do kamerdynera!

Założył bluzę i szukał czapki. Karol wiercił się zaniepokojony, w końcu powiedział:

– Gdyby się szykowała awantura, to daj mi znać.

Piotrek poszedł do budynku, gdzie pod nieobecność pana rządził się kamerdyner. Bał się, aby go nie spotkała najbardziej przykra historia, z której nie widziałby wyjścia. Może kamerdyner będzie rozpytywał, co się działo nocą. Prawdę trudno powiedzieć i zmilczeć nie sposób...

Francuz był zajęty pisaniem czegoś na ozdobnym papierze. Dopiero gdy skończył i adresował kopertę, powiedział:

– Jesteś nareszcie, dlaczego sam się nie zgłosiłeś?

Zupełnie go zamurowało.

– Po co? – spytał niezbyt uprzejmie.

– Należy pamiętać o swych obowiązkach. Pan mistrz wyraźnie powiedział, że jesteście pod moją kuratelą. Trzeba rano zapytać, jakie mam dla was polecenia. Bierz te listy i zanieś do „urzędu”. A uważaj, by ci nie zamokły. Dwa pierwsze z góry są polecane, przyniesiesz pokwitowanie. Masz tu pieniądze.

Piotr schował miedziaka do kieszeni. I od razu przyszło mu na myśl: „Jeśli ktoś w życiu nie ma szczęścia tak, jak ja, to zawsze wpakuje się w jakąś trudną sytuację. Chłopcy ze wsi jeszcze nie przyszli ze skargą, a może szykują coś gorszego. Niebezpiecznie dzisiaj oddalać się poza dworek. A tu nagle z listami pod pachą przez sam środek wioski człapu, człapu po kałużach w samiusieńkie przedpołudnie... To się nie może dobrze skończyć”.

Pomyślał jeszcze, że bił się bardzo rzadko i tylko wówczas, kiedy naprawdę musiał, kiedy już ktoś bezczelnie go zaczepił i przyłożył bez żadnej przyczyny. Więc skoro była taka sytuacja, że musiał oddać, no to wtedy już... Ale czy jego zbili, czy on zbił, nigdy tego nie lubił i już cały dzień miał potem zepsuty. Miał uczucie niesmaku i był dziwnie nieswój. A teraz to zupełnie co innego. Sam jeden będzie paradował przez środek wsi, niczym słoń na polowaniu. Kto zechce, zamachnie się dobrze od sadu, zza płotu, spoza szopy i kamieniem trafi. Ani się gdzie podziać, ani dokąd uciec, bo sami obcy. Do kogo wbiegnie? Do pierwszego domu chłopskiego, przedstawi się i powie, że w nocy kradł jabłka, a teraz prosi o łaskawe przechowanie? Cóż to kogo obchodzi, że on nie kradł osobiście. Spał pod jednym namiotem z tym, który łąził po sadach. Wiedział, że jego szczęście w życiu tak właśnie wygląda. Inni najedzą się jabłek, a on kamieniem oberwie. Za późno już, aby się od tej służby wyłgać. Żeby miał chociaż ręcznik, można by nim szyję owinać i chrypę udawać.

– Czy dostanę ochronę, panie kamerdynerze?

– Jaką ochronę?

– Kogoś jeszcze. Listy będę niósł, sprawa urzędowa, zawsze lepiej ze służącym. Żeby nie było potem na mnie, jeśli korespondencja nie dotrze w porę do Paryża.

– Co ty głowę zawracasz, Pierre. Bierz listy i maszeruj!

Więc zgarnął korespondencję i wyszedł z saloniku na ganek. W namiocie Karol czekał

pełen niepokoju.

– Naskarżyli?

– Jeszcze nie.

– A skądżeś ty wytrzasnął tyle kopert?

– Służba – Piotr zerknął znacząco na Karola.

Tamten odpowiedział mu w milczeniu długim współczującym spojrzeniem.

– W razie czego krzycz, przybiegnę ci pomóc.

Kamerdyner jeszcze raz zawołał Piotra i pożyczył mu pelerynę.

Za dziedzińcem na drodze było grząskie błoto. Mżył deszcz i wioska zdawała się wyludniona. Tylko jadące z rzadka fury żłobiły koleiny w zawiesistym błocie. Rowem płynęła brudna woda. Spod nóg niechętnie ustępowały żaby. Kryły się w przydrożnych trawach albo chlupały do mętnego potoku w rowie.

Urząd pocztowy znalazł naprzeciwko kościoła, na niewielkim placu w centrum wioski, wokół którego zgromadziły się wszystkie stragany. Na pocście siedział tylko jeden urzędnik i czytał gazetę.

Położył listy na biurku, dał miedziaka i myślał sobie: „Połowę drogi mam za sobą. Ani śladu chłopaków ze wsi, ani jednego kamienia nad głową. Niemożliwe, aby mnie nie widzieli”.

Gdy już nadał listy, wtedy dopiero zrozumiał, jak to musiało być naprawdę. Cisza wokół niego to z pewnością tylko pozory. Na pewno czyjeś oczy bacznie śledziły go z ukrycia. Wyspiegowali, gdzie poszedł, a teraz toczą gorączkowe narady. W jaki sposób przeciąć drogę? Stary zwyczaj zbójceki. Do środka wpuścić, a potem to już kłops.

Póki znajdował się na ryneczku, czuł się w miarę bezpieczny. Obejrzał czerwony kościół, kramy i drewniane chałupy wokół. Nic ciekawego nie wypatrzył. Była co prawda grupa kuglarzy, ale nie warto się nawet przyglądać. Po pierwsze, nie miał pieniędzy, po drugie, nie wiedział, czy dadzą zaraz pokazy, a po trzecie, nie wiadomo, czy mu wolno je oglądać. Może być zupełnie tak samo, jak z jabłkami.

Chciał już ruszyć w powrotną drogę, gdy zobaczył tuż poza placem, nieco w dole, na brzegu rzeki, szeroki drewniany pomost, który wrzynał się głęboko w głąb wody. Domyślił się, że to przystań rybacka, i poszedł w tamtą stronę.

Przy pomoście cumowało kilka łodzi. W obszernej szopie wisały sieci i leżał sprzęt rybacki. Stał wózek z przenośną budą. W powietrzu unosił się zapach zgniłych szuwarów, stęchłej wody i ryb.

Stąpił ostrożnie uważając, żeby nie zdradziła go jakaś przegniła deska, nie przymocowana do mola. Poczł teraz wyraźnie mdławy zapach brudnej wody. Wciągnął go głęboko. Pragnął poznać go dokładnie i zapamiętać, podobnie jak wczorajszy zachód słońca nad Sekwaną.

Zamyślił się i wpatrzył w przeciwległy brzeg rysujący się spod warstwy jakby zakurzonej mgły.

– Ty czego? – usłyszał za plecami chrypiący głos.

Odwrócił się. Zobaczył tęgiego chłopca odzianego w obszarpany sweter. Potem dopiero spostrzegł jego twarz trochę puciołowatą, o nieczystej cerze, pokrytej pryszczami.

– Czego tutaj? – głos chłopca stawał się napastliwy.

Piotr nie miał pewności, czy zaraz nie przyjdzie mu sprawdzić, jak chłodna jest woda.

– Przyszedłem pogapić się chwilkę.

Tamten milczał, Piotr zaczął zmyślać na poczekaniu:

– Zawsze chciałem być rybakiem, a przystani nigdy nie oglądałem. Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak ciągnie się rybę. To chyba ciężka robota.

Był strasznie zadowolony z tej „ciężkiej roboty”, wiedział, że tak się na wsi mówi i że to były właśnie te słowa, które należało powiedzieć.

I cieszył się, że akurat przyszły mu na myśl. Ale już naprawdę był dumny z tego

„ciągnięcia ryby”. Zupełnie jakby się wychował u rybaków na poddaszu.

Tamten ze wsi postąpił krok naprzód i spytał uśmiechając się niezdecydowanie:

– A pływać umiesz?

– Dzisiaj za zimno – Piotr spróbował obrócić rozmowę w żart.

Ale żartów nie było, bo tamten mówił:

– Chcesz być rybakiem, a chłodu się boisz. Hulaj do wody!

– Wypchaj się ze swoją wodą. Chcesz maślanek, to chodź do kramów. Mam ochotę na maślankę.

– Najpierw popływasz elegancko, jak na miejskiego chłopaka przystało, a później skoczmy na maślankę. A może chciałbyś jabłko?

To już była zaczepka nie na żarty, ale i tym razem Piotrek postanowił jakoś wykpić się dobrym słowem.

– Pewnie. Masz?

– Coś taki bezczelny. Wczoraj dosyć natrzęśliście w nocy.

– Ale mnie nie dali.

– A tyś nie trząśł?

– Nie. Poproszę we dworze, to mi dadzą. Co to, jabłka nie specyjał.

– Na jabłkach więc nie byłeś?

– Nie.

– A jak się wyda, że byłeś?

– To mi spuścisz lanie. Prawo będzie twoje, nie oddam.

– Skórę ci złożę i do jaśnie pana ze skargą pobiegiesz.

– Mówię, że w sadach nie byłem. A poza tym, to my się nie znamy. Piotr jestem, jak ci na imię?

– Nie twoja sprawa.

Zapadło milczenie. Wyminąć go i wracać na placyk? A jeśli zepchnie do wody, gdy będzie koło niego przechodził? Może lepiej postać jeszcze przez chwilę, skoro nie wziął się do bitki od samego początku, może jakoś chmury rozejdą się bez deszczu.

– Chodźmy – powiedział tamten niespodziewanie. Piotr zobaczył, że odwiązuje łańcuch starej łodzi zalanej na dnie brudną wodą.

– Włóż! – rzucił krótko i nie oglądając się wszedł pierwszy do łodzi, pochylił się i wyciągnął spod desek wiosła.

Piotrek pomyślał, że sytuacja jest chyba dziwna, może teraz wziąć nogi za pas, i tyle go będzie oglądał. Chyba... chyba że na końcu pomostu stoi dwóch innych czekając w pogotowiu. Postanowił więc udawać naiwnego. Wszedł do łodzi i usiadł na mokrej desce rzuconej w poprzek między burtami. Teraz dopiero zastanowił się, czy aby nie po to wsiedli, żeby chłopak z wioski wyrzucił go w pewnej odległości od brzegu.

On zaś chwycił za wiosło i odepchnął łódź od pomostu. Wiosłował równo, nie chlapiąc piórami, mimo że powierzchnia wody była cała w maleńkich, złośliwych garbach.

Po kilku ruchach wiosel zanurzyli się w kanał pomiędzy szuwarami. „Tutaj zbój ukatrupi mnie za te jabłka” – pomyślał. Spoza zarośli wyłaniała się tafla Sekwany w kolorze chmurnego dnia. Tamten wiosłował dalej, zupełnie jakby nie zauważając obecności Piotra.

– Dokąd płyniemy?

Chłopiec odwrócił głowę i jakby ze zdziwieniem odpowiedział:

– Jak to dokąd? Prosto przed siebie.

Zapadła cisza, zdawać by się mogło, że wszystko zostało wyjaśnione.

Łódź wydostała się na czystą wodę. Teraz widać było wieś, z czerwonym kościołem pośrodku, otoczoną sadami, zielenią... gdzieś tam u jej końca znajdował się dworek pana Delacroix.

Chłopiec złożył wiosła i oparł je na burtach łodzi. Usiadł teraz naprzeciwko Piotra i spytał:

– Macie skrzypce?

Powtórzył sobie w myślach kilka razy to pytanie. Było najgłupsze i najmniej spodziewane spośród wszystkich, jakie mógłby usłyszeć. Więc bąknął tylko, nie ukrywając zdziwienia:

– Co? Jakie skrzypce?

– Zwyczajne, do grania. Nie słyszałeś o skrzypcach?

– Takie – o? – Piotr wykonał ruch, jakby chciał smyczkiem pociągnąć. Po czym zapytał: – My, to znaczy, kto?

– Pan artysta malarz. Skoro artysta, powinien mieć skrzypce.

– Widziałem chyba w salonie jakieś instrumenty do muzykowania.

– Tak przypuszczałem – dodał chłopiec. Znowu zanurzył wiosła i zaczął pracować ramionami. Dopiero po pewnym czasie powiedział, o co mu właściwie chodziło.

– Pożyczysz?

– Ja? Ja nie mam skrzypiec.

– Jesteś przytomny czy nie jesteś? Raz masz, raz nie masz.

– Mamy, że tak powiem, do wspólnego użytku.

– W każdym razie są wasze, więc pożyczysz.

– Mogę spróbować.

– No tośmy dobili targu.

Piotrek pomyślał: „Teraz rozumiem. Cała ta zabawa w straszenie, ze skakaniem do wody, na tym widocznie polegała, żeby mi dać jasno do zrozumienia: albo załatwię te skrzypce, albo...”

– Dokąd płyniemy?

– Muszę cię odwieźć do jaśnie pana. Po drodze pułapkę zastawili na ciebie. Miałbyś trudności. Stąd jest kawał drogi do doktora.

– Czy to warto, kilka głupich papierówek? – domyślnie zapytał Piotrek.

– Jabłko to jabłko. Wisi w sadzie nie po to, żeby się byle przybłęda najadł i „dziękuję” nawet nie powiedział. A gdybyśmy przyjechali do miasta i ukradli wam lakierki albo coś takiego... – Po chwili chłopiec dodał: – Kiedy skrzypce przyniesiesz? Zaczekam w łodzi, a ty skoczysz i weźmiesz.

– Oszalałeś?! I co ja powiem kamerdynerowi? Przecież nawet nie wiem dla kogo, nie wiem po co. Skrzypce to jest delikatna rzecz, jeszcze bardziej niż lakierki. A umiesz grać?

– Nie twoja sprawa. Ja cię proszę o skrzypce, a koncertować przed tobą nie będę.

– Czyś ty z drzewa spadł?! Kto ci da skrzypce, jeśli tak będziesz rozmawiał. Pójdiesz razem z nami do kamerdynera i powiesz, do czego ci skrzypce potrzebne, i pewnie da się coś zrobić. My znowu nie tacy jesteśmy, żebyśmy tylko kradli jabłka i żalowali chłopom ze wsi skrzypiec.

– Ja nie jestem chłopem, dziadek tu osiadł z własnej woli. Chłopi mnie wychowują od czasu, gdy się tatce zmarło.

– To dobrze, skoroś szlachcicem!

Tamten mocniej prasnął wiosłem raz i drugi, łódź zakręciła. Po chwili zaryła dziobem w muł nadbrzeżny. Podbiegło stado kur. Wiedziały, że w łodzi przewozi się ryby.

W głębi znajdował się dziedziniec, otoczony stodołą murowaną, domem z czerwonej cegły i płotami.

– Zaczekaj – powiedział tamten i wyskoczył z łodzi. Wrócił po dłuższej chwili, przyniósł w koszyku sporo pięknych papierówek. Wsiadł do łodzi i odepchnął ją od brzegu.

– To jak ci na imię? – spytał. – Bo mnie Wojciech.

– Jak?

– Wojciech. Trudne, co? To nie francuskie imię...

– Rany Boskie – wrzasnął Piotrek – *Polonais*?

– *Je suis Polonais*¹⁶.

– Ja też...

W kwadrans później Piotr wysiadł z łodzi nie opodal dworku. Wszedł do namiotu i wysypał jabłka zawinięte w płaszcz. Karol skoczył na równe nogi.

– Masz. I gęby mi nie rozwalili. Rodaka spotkałem!

Odwrócił się na pięcie i poszedł do kamerdynera. Należało powiedzieć, że z listami załatwione. Nie miał pojęcia, jak by tu zacząć rozmowę w sprawie tych nieszczęsnych skrzypiec. W salonach spostrzegł niebывały rozgardiasz.

– Jaśnie pan przyjeżdża! – krzyknął służący zdziwionemu Piotrkowi.

Piotr wszedł nieśmiało do salonu i czekał, aż dojrzy go pan Eugeniusz.

Przyjechały nowe płótna. Sporo ich leżało na dywanie, zwiniętych w rulon. Służący ustawił przy oknie blejtram. Widocznie pan Delacroix miał zamiar wziąć się do pracy. Wokoło zwyczajny bałagan, niczym w paryskiej pracowni. Pudła z farbami, otwarte, zachlapane, czekały w pogotowiu, zachęcając mistrza do sięgnięcia po pędzle i pędzelki.

Gospodarz był tego dnia chmurny jak pogoda. Stał przy oknie i patrzył na drzewa szumiące w sadzie. Raz i drugi nerwowo potarł kciukiem baczki, rozluźnił jedwabną chustę na szyi, jakby go nadto uciskała.

Odwrócił się, gdy skrzypnęła podłoga. Zobaczył Piotra, lecz nie odezwał się ani słowem. Chłopiec skłonił się w milczeniu. Pojęcia nie miał, wyjść czy zostać. Oczekiwał na jakieś polecenie, choć zdawało mu się, że dziś niczego już nie usłyszy. Pan Eugeniusz zajęty był swoimi rozmyślaniami. Nawet kamerdyner trzymał się z daleka. Kto wie, czy nie dostał bury tak na wszelki wypadek, na zapas, gdyż piwa żadnego sobie nie nawarzył.

Piotr cofnął się w stronę drzwi.

– Namiot wasz? – usłyszał zniecka.

– Tak, proszę jaśnie pana...

– Ilu was przyjechało...?

– Mój kolega szkolny, Karol...

– Pamiętam.

– Jesteśmy do usług, proszę jaśnie pana...

– Tak, mam do was prośbę. Postarajcie się nie przeszkadzać mi tutaj.

– Czy mamy wyjechać, proszę jaśnie pana..?

– Widzieliście go, polski hrabia, już się obraził. Obiecałem, że mój sad, moje drzewa i moja spiżarnia gotowe są przygarnąć was na całe wakacje.

– Jeszcze raz dziękujemy, ale...

– Ale, co?

– Mieliśmy służyć jaśnie panu...

– Pamiętam. Na razie nie zasiadam do tego płótna. Nie jestem zdecydowany. Może jutro, może za tydzień. Chciałbym was mieć na podorędziu.

Gospodarz zaklaskał. Natychmiast zjawił się służący.

– Szalik i laskę – rzucił mu pan Delacroix.

Po chwili wychodził z salonu, gotów do spaceru. Piotr uznał, że rozmowa skończona i chciał gonić do namiotu, by ją powtórzyć Karolowi. Ale mistrz skinął nań ręką.

¹⁶ *Je suis Polonais* (franc.) – jestem Polakiem.

– Byłeś już w lesie Senart?
– Czy to ten widoczny ze skarpy nadrzecznej...?
– Właśnie ten.
– Byliśmy tam tylko przez chwilę. Tam jest dziwnie. Nagle pan Eugeniusz po raz pierwszy w tej rozmowie się uśmiechnął. Spojrzał na Piotra wzrokiem już nie tak chmurnym i chłodnym.

– Dlaczego dziwnie?
– Nie potrafię panu wytłumaczyć. Jakoś tak nieswojo.
– Dzikiej zwierzyny przecież nie spotkałeś ani żadnych strachów leśnych czy duchów zawodzących.

– Nie, proszę jaśnie pana, nie spotkaliśmy.

– Chodź ze mną – zdecydował mistrz.

Polną drogą skierowali się do lasu Senart. Champrosay tonęło we mgle. Sinawa wstęga oparów znaczyła drogę Sekwany. Mokra trawa chłodziła bosa stopy Piotra. Gdy dmuchnęło wiatrem, drzewa otrzepywały się z deszczu sypiąc tysiącami kropel. Ptactwo siedziało na gałęziach, ospałe, nieruchawe, wróble naburmuszone i złe.

Zatrzymali się w pobliżu rozłożystego dębu, starowiny, który musiał niejednej historii się napatrzeć i zapewne pamiętał tysiące wschodów i zachodów słońca.

– To jest Prieur – powiedział Delacroix. – Nieco dalej znajdziemy inny, który nazywają d’Antin.

Piotrkowi się wydało, że to miejsce przypomina prastare uroczyska. Mistrz spostrzegł nagle jakiegoś dziwnego owada i wskazał go Piotrkowi. Nigdy przedtem takiego nie widział. Coś jakby muszka i motyl zarazem. Nachylili się obaj, żeby go lepiej obejrzeć. Wtedy pan Eugeniusz zaciekał się mchem, który pokrywał ziemię.

– Zobacz, Pierre, gdy przyglądać się będziemy materii, wyda nam się, że ukazuje wszędzie pewien porządek: katastrofy, destrukcje, które zstępują nagle na otaczającą naturę, nie powinny powodować w nas ani zaskoczenia, ani żalu. Są to, wręcz przeciwnie, prawa zadziwiająco mądre, które nakazują, by zniszczony przez lata olbrzymi dąb ustąpił miejsca gąszczom nowych obrosli, które odmłodzą powierzchnię ziemi. Wałca się góra, grunt, co się obsuwa lub zapada tworząc przepaście, czynią miejsce dla jezior lub świeżych ziem przygotowanych do rodzenia nowych bogactw. Wszystkie te zjawiska nie są bynajmniej zwykłym nieładem żywiołów. Zadziwiają nas jedynie, nas, którym zamacają drobne obliczenia i których bezpieczeństwu zagrażają. A człowiek, widzisz, Pierre, człowiek jest tylko częścią tej wielkiej całości, w której odgrywa swoją rolę, otrzymuje i daje, ujarzmia i jest ujarzmiany, pali, spożywa, rozdziera i z kolei sam zostaje zmieciony¹⁷.

Piotr milczał, oglądając z wielkim podziwem całą wspaniałość rozłożystego dębu.

Po krótkiej chwili pan Eugeniusz odezwał się jakby sam do siebie:

– Kawalek węgla, krzemienia czy jakiegoś kamienia może w zmniejszonej proporcji przedstawiać kształty olbrzymich skał. Pamiętaj, że również przy rysowaniu drzew zdarza się, że jakaś gałąź wyodrębniona mogłaby sama być małym drzewkiem, gdyby nie rozmiary liści. Kiedyś przy okazji powiem ci, co się dzieje z naturą, gdy dwie barwy zderzają się ze sobą i w gwałtownej walce stopią nawzajem w jedną całość.

– Bardzo trudno być malarzem – wtrącił Piotrek. – A już takim jak pan, to chyba zupełnie niemożliwe.

– Pierre, przecież ja żyję naprawdę – zaśmiał się pan Eugeniusz.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, co to będzie za obraz, ten do którego od dawna miałem pozować?

– Ach, widzisz, twój portrecik to jedynie szczegół wieńczący prawą flankę. Sam obraz

¹⁷ Z „Dzienników” Delacroix.

zaś... hm... może nigdy w życiu go nie namaluję. Chciałem rozpocząć szkice właśnie tu w Champrosay. Wydaje mi się jednak, że nic innego nie powstanie, jeno pejzażyk jakiś. Może właśnie z lasu Senart. Ileż mądrości kryje ta natura...

– Proszę jaśnie pana, bo ja nigdy więcej już nie wezmę do ręki ani kredki, ani białego kartonu.

– Co za rezygnacja...

– Bo gdy się przyglądam obrazom, które pan namalował, i gdy staram się uchwycić sens tego, co pan mówi, to jedno tylko wiem, że niczego, zupełnie niczego nie rozumiem.

– Spodziewasz się, że ja na wszystko mam gotową odpowiedź. A ja, Pierre, staję czasami taki bezradny przed rozpoczętym płótnem! Żebyś wiedział, jak straszliwie bezradny i samotny. Kiedyś na pewno mnie zrozumiesz, gdy sam zechcesz wszystko cisnąć do komórki, by już nigdy więcej tego się nie imać.

– A w Paryżu był pan taki wesół i z paniczem Fryderykiem żartował pan z hrabianki...

Siniaki Karola szybko znikły. Chłopcy ze wsi jakoś nie przyszli na skargę. Wyglądało na to, że cała sprawa zwyczajnie przyschnie i tym razem obejdzie się bez awantury.

– Masz czystą koszulę, to włóż po obiedzie – zaczął Karol. – Idziemy do wsi.

– Znowu coś zmajstrowałeś?

– Żebyś wiedział. Mam zaproszonko na herbatkę po obiedzie.

– No to masz. A ja?

– Będiesz moim pomocnikiem. Samemu... wiesz, niezręcznie się pije herbatę pośród obcych. Chciałem ci pokazać pewną dziewczynkę, co nam umili te wakacje. Zupełnie światowa panienka. Nie mam pojęcia, dlaczego mieszka w takiej zapadłej wiosce, w tym kaczym dole, gdzie jak się tylko ściemni, tłuką człowieka po pysku i nawet oddać nie można, bo za diabła niczego nie zobaczysz.

– Ty jednak coś zmajstrowałeś...

– Szedłem wczoraj do karczmarza, posłali mnie, żeby coś tam kupić. Więc idę sobie drogą, patrzę, a tu maszeruje osiołek! Żebyś wiedział, jaki wspaniały. Więc ten osiołek idzie, a na osiołku... panienka! Widzę, że ubrana całkiem po parysku. Sukienkę ma ładną i dużo jasnych rozwianych włosów, bo był lekki wiatr.

– A sukienka była granatowa...

Karol spojrział znacząco, zastanowił się, nawet wyglądał trochę na stropionego.

– Skąd wiesz...?

– Takie rzeczy się wie.

– No, no, ty nie oglądaj się za sukienkami, bo rozpowiem, żeś kobieciarz.

– Ja? Kto zaczął...

– To ci nic więcej nie powiem.

– Nie wygłupiaj się. Jechała na tym osiołku i co dalej?

– Podnoszę rękę jak stójkowy z policyjną czapką. Ciekaw byłem: zatrzyma się czy nie. Widzę, przejeżdża obok mnie i chyba język pokazuje. Więc sobie myślę: „Idiotka. Ja cię nauczę porządku”. I jak niby nic wołam za nią: „Przepraszam, dzień dobry”.

– Zatrzymała się?

– Oczywiście! Zbliżyłem się do niej chwacko jak całkiem dorosły kawaler, ale gdy już znalazłem się sam na sam, to wiesz, trochę się zgubiłem. Staliśmy przez chwilę w milczeniu i...

– I co?!

– Więc mówię do niej: „Pogoda”. No i tak o tej pogodzie jakoś się rozkręciło. A potem jej powiedziałem, że ma kulawego osła. Był zdrow jak diabli i wszystko w tym osle było w porządku, że aż człowieka złościło. Doszliśmy pod jej furtkę. Ja ci patrzę i oczom nie wierzę. Ta sama furtka! Rozumiesz? Za furtką jest dom, za domem sad, najpierw brałem stamtąd jabłka, zaś potem stłukli mi głowę.

Na tym skończyła się rozmowa przyjaciół.

Piotrkowi obiad zupełnie nie smakował. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co je. Był zły na siebie i na wszystko, ale to chyba za mało powiedziane. Pamiętał doskonale granatową sukienkę, jasne włosy spadające na plecy. Licho poniosło Karola do wsi, a drugie licho nadało ją z tym osłem. Nie mogła jechać trochę później albo wcześniej? Widocznie tak już bywa, że jeśli ktoś ma szczęście, to prawie codziennie. Zastanawiał się, dlaczego Karol chce go zabrać ze sobą. Domyślał się, że jest tylko jedna, rozsądna przyczyna. Jeśli Karol pójdzie sam, to któż o tym będzie wiedział? Samemu rozpowiadać niezręcznie. Więc potrzebny jest świadek. Potrzebny jest Piotr, żeby wróciwszy do szkoły zwołał chłopaków i dokładnie wszystko opowiedział, jak było i co. Z tym osłem, furtką i wizytą. Obiecał sobie, że nie pójdzie. Po prostu nie, i koniec.

Leżał w namiocie na pryczy i obserwował brezent nad swoją głową. Karol wyciągnął jakieś książki, rozłożył szachy, zdawało się, że gra sam ze sobą. Piotrek z niepokojem oczekiwał, że kolega na pewno znowu zacznie rozmowę o białej koszuli.

Płachta namiotu uchyliła się, zajął służący.

– Pierre, do kamerdynera!

Zerwał się z pryczy, narzucił pelerynę na ramiona i wybiegł. Przed bramą dworku siedział w kucki Wojtek. Był jakiś taki czysty, świeżo umyty, przyczesany i w swetrze, który znacznie pojaśniał od tamtej pory, kiedy spotkali się we dwóch na rybackim pomoście.

Piotr ucieszył się. Wyciągnął rękę do Wojtka, uścisnęli sobie dłonie na powitanie.

– W samą porę przyszedłeś. Akurat wszyscy się nudzą. Może pan Delacroix będzie miał chwilkę czasu, aby z nami porozmawiać.

– Skrzypce...?

– Gdy się odezwiesz, to zupełnie jakby Cygan jakiś. Jedno słowo potrafisz wykrztusić, i to akurat najmniej spodziewane. Pan artysta chce najpierw cię zobaczyć, a potem zastanowi się, co z tymi skrzypcami. W każdym razie są i to całkiem porządne.

Weszli do dworu. W saloniku obok werandy spotkali mistrza Delacroix. Oczy miał zamysłone i zdawało się, że rozmawiając z kimkolwiek, w międzyczasie układa sobie wiersze po cichu lub maluje w wyobraźni.

– Proszę jaśnie pana, przyprowadziłem kolegę, z wioski. To jest właśnie Wojtek, o którym wspominałem.

– Tak?

– Jaśnie pan nie pamięta? My w sprawie skrzypiec.

– A, prawda. Teraz wiem. Siadajcie.

Spojrzał na nich, ale zdawało się, że było mu wszystko jedno, który z nich jest Wojtkiem, który Piotrem. Jak zawsze robił wrażenie nieobecnego.

– Więc jak ci na imię, bo zapomniałem.

– Wojtek. To jest polskie imię. Jestem Polakiem.

– Chcesz pożyczyć skrzypce?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo u nas nie ma skrzypiec. Były kiedyś, gdy żył jeszcze mój ojciec, lecz zapodziały się gdzieś, chyba matula sprzedała handlarzom wędrownym.

– No, dobrze, ale po co ci te skrzypce?

- Bo ja chciałem zagrać.
- Uczysz się muzykowania?

Wojtek zmilczał chwileczkę. Widać było, że nie bardzo wie, co by tu odpowiedzieć. Piotr go zachęcił:

- Mówże, a do rzeczy.
- Bo ja, proszę pana mistrza, kiedyś grałem.
- Co ty powiesz?

– To znaczy, raz grałem. Gdy jeszcze były skrzypce w izbie, tom spróbował i nawet mi całkiem dobrze poszło. Matula powiedziała, że jak trochę dorosnę i zagram parę razy, to i do orkiestry będę mógł należeć. Tylko...

– Tylko co?

– Bo ja to bym chciał, ale nie w odpustowej orkiestrze. Ja bym chciał sam, a obok żeby ktoś grał na pianoforcie, z nutami, a ja na tych skrzypcach, niczym artysta jaki...

– Rozumiem – powiedział Derlacroix. – A jest tu jakiś organista, dlaczego lekcji nie pobierasz?

– Mistrzów tu nie ma, dopiero w Paryżu, ale matula powiedziała, że mi całkiem gładko idzie, więc może bym się nauczył sam...

- Znasz nuty?
- Nut to ja nie znam.
- Nie szkodzi.

Pan Delacroix wyszedł, po chwili wrócił niosąc instrument. Otworzył futerał i z namaszczeniem wyjmował skrzypce. Piotr i Wojtek patrzyli z ciekawością na ciemnobordowy kolor drzewa, na błyszczące złotawe nakrętki przymocowane do gryfu. Pan Delacroix sięgnął po białą szmatkę i przetrął cały instrument, chociaż i tak nie było ani śladu pyłu. Potem wziął smyczek, uniósł skrzypce, wsparł je na obojczyku, zwrócił głowę, przycisnął je brodą i opuścił rękę. Skrzypce same się utrzymały. Artysta coś manipulował przy smyczku. Była tam mała gałka, którą można było kręcić. Uznał, że wszystko w porządku, uniósł smyczek, ręką objął instrument nieco poniżej gryfu i spróbował. Następnie dotykał tych nakrętek złotych, próbował tonów, znowu stroił, trwało to przez dłuższą chwilę.

- A co ty umiesz zagrać?
- Niewiele.

Podał chłopcu skrzypce i smyczek. Wojciech ostrożnie wziął je do ręki, jakby się obawiał, że mu zaraz upadną na podłogę. Umieścił nasadkę pod brodą, spojrzął zezem na instrument. Pan Eugeniusz podszedł do niego, wziął skrzypce i sam umieścił mu je w dołku nad obojczykiem, a potem układał dłoń i palce w taki sposób, aby mogły naciskać struny. Gdy już wszystko było gotowe, dał znak, aby zagrał.

Wojciech pociągnął smyczkiem i rozległ się dźwięk, dźwięk, który urwał się z nagłą. Wyglądało zupełnie tak, jakby Wojtek się przestraszył. Ale potem spróbował po raz drugi i trzeci. Zaczął coś grać. Było to dziwne granie i Piotrkowi przypominało skrobanie szkła za pomocą grzebienia.

Nareszcie Wojtek przerwał. Opuścił smyczek i powiedział z zawstydzeniem:

- Coś mi niesporo dzisiaj...

Jakby nie dowierzając instrumentowi, obejrzał go jeszcze raz, w końcu się zdecydował i zamasyście ciachnął smykiem po strunach. Rozległ się dźwięk ostry, piskliwy, aż bolały uszy. Odezwały się równocześnie dwie struny, ale chyba jednak nie te, które powinny.

- Wystarczy – powiedział pan Eugeniusz.
- Umyśliłem sobie, że będę grał na skrzypcach.
- Tak od razu, od pierwszego zamachu?

Delacroix wziął skrzypce do ręki, namyślał się chwilę, następnie postukał smyczkiem i

zagrał. Była to zwyczajna gama. Zwrócił się do Wojtka i spytał:

– Potrafisz to zanucić?

– Czemu nie. Tylko może jaśnie pan zagra jeszcze raz. Potem Wojtek spróbował powtórzyć gamę, ale niezupełnie mu się to udało. Piotr, który nigdy nie grzeszył zdolnościami muzycznymi, czuł wyraźnie, że Wojtek fałszuje. Artysta zagrał jakąś bardzo prostą melodyjkę, króciutką, właściwie było to zaledwie kilka dźwięków. Kazał Wojtkowi zaklaskać w taki sposób, aby powtórzył się rytm tej melodii. Może się to powiodło, a może nie. Z oczu mistrza trudno by się czegokolwiek dowiedzieć. Odłożył skrzypce do futerału, ale go nie zamknął. Zapadła chwila milczenia. Ni stąd, ni zowąd Wojtek ruszył do drzwi.

– Poczekaj, dokąd idziesz?

– Nie jestem zdolny, prawda, proszę jaśnie pana? ...

– W każdym razie nie powinieneś uważać, że w krótkim czasie będziesz mógł zagrać z towarzyszeniem klawesynu lub pianoforte.

– Myślałem, że mam zdolności.

– Ale powiedz mi właściwie, dlaczego ty chcesz grać na skrzypcach. Czy wiesz o tym, że to jest najtrudniejszy instrument?

– Dlaczego najtrudniejszy? Ma tylko cztery struny, a pianoforte chyba pięćdziesiąt.

– Prawdopodobnie z instrumentami już tak bywa, że im mniej mają strun, tym trudniej na nich grać.

– To ja już sobie pójdę. Jaśnie pan raczy wybaczyć...

– Podobasz mi się, Wojtku. Gdybyś miał jakąś inną ideę, zamiast grania na skrzypcach, przyjdź do mnie kiedyś. Porozmawiamy, zastanowimy się, dobrze...?

– To już pójdę, bo muszę wujowi zawieźć jedzenie.

– A cóż on robi?

– Kosi zboże po drugiej stronie rzeki. Licha ziemia i z kamieniami, ale trochę zboża zawsze urośnie.

– Więc z tego żyjecie?

– Ależ nie, panie mistrzu. Na skrawku ziemi jeszcze nikt nie wyżył. Przynajmniej tutaj. Z ryb żyjemy.

– Toś ty rybakiem?

– Ano, przyuczam się. Dziadkowie rybę ciągnęli, bo moja mama Francuzka z tych stron. Wuj mówi, że kiedyś nową łódź obstaluje i sieci kupi nowe, co do nich ryby lepiej włożą. Mamy tutaj sumy... przyniosę jaśnie panu za te skrzypce...

– No cóż, nie pograłeś sobie...

– Grałem, nie grałem, ale musi być honorowo. Dał mi jaśnie pan skrzypce, więc suma przyniosę.

Usłyszeli zza okna parskanie koni, turkot karocy zwiastujący gości. Pan Eugeniusz wstał i szykował się na powitanie.

– Czy mogę odprowadzić przyjaciela? – spytał Piotr.

– Oczywiście – przytaknął gospodarz.

W chwilę później szli skrajem wiejskiej drogi wymijając kałuże. Nie rozmawiali. Piotr czuł się trochę nieswojo i było mu przykro. Rozumiał, że z tą grą zupełnie się nie udało. Domyślał się, że Wojtek musi być zły na siebie i na wszystko.

– Nie martw się. Tyle jest różnych rzeczy na świecie poza skrzypcami – zagadnął. Wojtek nie odpowiedział. Znów szli dalej w milczeniu. Z przeciwka jechała fura. Cofnęli się aż do płotu, aby ich nie dosięgnęły bryzgi błota i wody. Potem odwrócili się i patrzyli w ślad za oddalającym się chłopem. Siedział skulony, okryty starą kapotą i zdawało się, że drzemał.

– Tyle różnych rzeczy jest na świecie – powtórzył Piotrek.

– Ja się nie martwię.

I wtedy zauważył, że oczy Wojtka są mokre.

Stali przed kramami naprzeciwko kościoła. Plac był pusty, wszystkich wymiotło, nisko, tuż ponad wieżą kościelną przeciągały zwaliste chmury pędzone wiatrem. Chodził sadami, przygniatał szuwary aż do powierzchni rzeki, grał na gałęziach jabłonek, telepał się uwieszony starego szyldu. Z daleka słyszało się łoskot letniej burzy.

– Musi być fala na rzece, prawda? Pływałeś kiedy przy fali?

– Bywało. Jesienią, gdy ruszamy zabrać sieci i postawić nowe, to łódką kolebie na wszystkie strony, gorzej niżbyś furą jechał po kartofliskach. Mnie wuj zabiera po to, żebym wodę wylewał.

– A co, łódź przecieka?

– Łódź mamy szczelną, ale woda uderza w burtę i bryzgi wpadają do środka. Kubełkiem ciągle muszę wylewać.

Wojciech nagle umilkł. Piotrek spojrzał w ślad za jego wzrokiem.

Przed kramami stał osiołek!

Dwaj chłopcy – jakby od niechcienia, niby to ociągając się, ruszyli w tamtą stronę.

Piotrek zobaczył dziewczynkę. Najpierw dużo jasnych włosów i zielona peleryna prawie do kostek.

Gdy patrzył na te jasne włosy, zdawało mu się, że mają właściwości podobne do słońca, wokół jakby pojaśniało, rozmigotało się, zabłysło...

Dziewczyna odwróciła się nagle i zobaczyła chłopców. Zarzuciła ręce do tyłu i walczyła ze swoimi włosami. W końcu upchnęła je pod pelerynę, naciągnęła zielonkawy kaptur i wiazała go pod brodą na kokardę. Spostrzegł, że miała ręce białe, nie opalone, o szczupłych, długich palcach i czyste. Niby drobiazg, ale zwrócił na to uwagę. Zresztą, patrzył na jej dłonie, gdyż ciężko mu było podnieść oczy na tyle, żeby spojrzeć w twarz.

– Wojtku, okropnie się najeździłam w tej mżawce, przez całą wioskę tam i z powrotem, nie mogłam cię znaleźć.

– Po co mnie szukałaś?

– A bo tatuś prosił... żebym ja ciebie poprosiła...

– Suma na kolację?

– Tak, bo tatuś chciał, ale nie widzę u kramarzy.

– Kiedy my w tej chwili nie mamy ryb. Wuj kosi żyto za rzeką. Deszcze padają i żyto się wyłożyło...

– Oj, to szkoda – zmartwiła się.

Wojtek wzruszył ramionami, wsadził ręce do kieszeni, zmarszczył czoło i wszystko wskazywało na to, że myśli. Przerwała mu dziewczyna:

– A ten, to kto?

– Przyjaciel.

– Aha, już wiem. To na pewno jeszcze jeden z dworku mistrza Eugeniusza. Kręcą się tu, wszędzie rosną, gdzie ich nie posiali.

Piotr nie mógł odgadnąć, czy kryła się w tym niechęć, czy tylko drwina i pokpiwanie. Trudno mu było zdecydować się na jakieś słowo. Chciałby jej powiedzieć coś bardzo miłego, na przykład, że jej włosy jaśniały tam przy kramach dziwnie i niezwyczajnie... Wolał jednak zamilczeć.

– Przepraszam – wybąkał.

– Za co?

- Za to, że wdychamy tutejsze powietrze.
- Obraził się. A ja wcale nie chciałam. Możecie tu sobie przyjeżdżać chociażby i co rok. Tacy jesteście śmieszni. Udajecie paryżan i chodzicie sztywni jak bociany. Znasz Karola?
- Ma się rozumieć. Mój przyjaciel.
- Dziwny chłopak, nie? Taki mądrała paryski.
- Ze wszystkimi tak samo rozmawiasz?
- Tak, albo co?
- Że też cię nikt jeszcze za włosy nie wytargał...
- Och, jej, bo mnie tu wszyscy znają. Wszyscy wiedzą, że jestem niepoważna i trochę zwariowana. Ale ja bardzo wszystkich lubię. I o tym też wszyscy wiedzą. Mogę więc sobie mówić, co mam na języku. A z Wojtkiem to my się bardzo lubimy. Karola także polubiłam. Może i ciebie polubię, jeśli się przedstawiś.
- Piotr jestem – wyciągnął do niej rękę.
- Poczuł jej palce w swojej dłoni. Były chłodne, prawie zimne, zapewne od dzbana. I jeszcze raz mógł się przekonać, że były drobne, szczupłe i długie. Cofnął swoją rękę i ze smutkiem pomyślał, że nie można się przedstawiać co chwila.
- Wojtek chwycił jej dzban na ramię, by nie przeszkadzał, i wskazał ręką przed siebie.
- Chodźmy.
- Ruszyli przez błotnisty plac w stronę pomostu i szop rybackich. Nie rozmawiali, zanim nie znaleźli się w przystani. Wojtek szedł pomostem i przyglądał się uważnie łodziom. Zatrzymał się na chwilę, ocenił spojrzeniem kilka z nich, potem rzekł zadowolony:
- Zdaje się, że jedna łódź wróciła niedawno. Może coś przywieźli. Zaczekajcie tu chwilę, to się dowiem.
- Odstawił dzban. Szybko ruszył pomostem, aż deski zaskrzypiały.
- Cofnęli się pod ścianę. Nie padało już, tylko w pobliskich drzewach wiatr buszował, gwałcił gałęzie i szumiał w krzakach. Słyszało się chlupot fal bijących o słupy pomostu. Fala nadchodziła z prądem, krótka, lecz zła i zagniewana.
- Pod okapem było nieco cieplej. Zapach traw i sadów przyciągnął aż tutaj. Pękate krople spadały z dachu i przyskały w kałużach wielkimi bąblami.
- Myślał, co by tu powiedzieć, gdyż pora była najwyższa, chwila milczenia przeciągnęła się w nieskończoność.
- Nagle dziewczynka roześmiała się, zwróciła twarz w jego stronę i spytała:
- Powiesz coś?
- Pogoda... – nieokreślony gest rękoma.
- Przypomniał sobie, co mu Karol opowiadał. Wtedy chciało mu się śmiać, ale teraz wiedział naprawdę, że to wcale nie jest takie śmieszne i chociaż potrafi rozmówić się nawet i z dorosłą osobą, to tu nagle zupełna kompromitacja. Pogoda... i ani słowa więcej. „Czy on prędko wróci z tymi sumami?” Nie mógł się zdecydować, raz chciałby, aby to poszukiwanie ryb trwało jak najdłużej, a znowu w moment później wolałby, żeby Wojtek już wrócił. Był zły na siebie, zdenerwowany i rozjątrzony i to jeszcze bardziej utrudniało mu wydobywanie z gardła choćby jednego słowa.
- Nie jesteś rozmowny.
- Nie, tylko w tej chwili...
- Podoba ci się u nas?
- Bardzo. Od samego początku, od kiedy przyjechałem. Od kiedy gęsi zniszczyły mi sznurowadła i zobaczyłem tę bryczkę, którą odjeżdżałaś razem z mamą.
- Widziałeś mnie przy karczmie?
- Tak. Miałaś granatową sukienkę, pantofle, takie błyszczące, i białe pończochy...
- Wszystko się zgadza, jak w notesie u guwernantki.
- Nie myślałem, że cię spotkam.

- Dlaczego?
- Bo nie przypuszczałem, że możesz tu mieszkać.
- Dlaczego?
- Wyglądasz na jaśnie panienkę ze szlacheckiej rodziny. Śmiała się długo i głośno, dźwięcznym głosem, bardzo wysokim i zarazem miękkim i przyjemnym. Podobał mu się jej śmiech.
- „Jaśnie panienka” – powtórzyła – muszę powiedzieć mamie, na pewno będzie się jej podobało.
- A co w tym złego? Może źle się wyraziłem? Jeśli tak, przepraszam.
- Ale skąd. Powiedz mi, dlaczego mnie uważasz za hrabiankę?
- Sam nie wiem. Tego chyba nie da się opowiedzieć.
- Kiedyś mieszkaliśmy także w Paryżu. Mój tatuś był urzędnikiem w ministerstwie, wiesz?
- Tak?
- I zapewne przeniesiemy się w przyszłości znowu do Paryża. Ojciec mówi, że przeprowadzimy się wówczas, gdy pan Guizot¹⁸ straci nareszcie swoją posiadłość. Wiesz...
- Nie jest ci tu nudno?
- Coś ty, ani trochę. Mamy piękny sad, zobaczysz. I ładny dom. Na wiosnę mamy tyle bzów, żebyś wiedział... Mama i ja zajmujemy się ogródkiem. Różne kwiaty hodujemy. Ja najpierw je sadzę, później podlewam, oczyszczam grządki z chwastów, a jeszcze później ścinam i układam w wazonach.
- Piękne zajęcie. U pana Delacroix jest także wiele kwiatów.
- A co ty właściwie robisz?
- Ja...? Ja jestem Polakiem.
- Być Polakiem to nie zajęcie, prawda?
- I tak, i nie. Bo widzisz, my się uczymy. Jesteśmy elewami polskiej szkoły w Paryżu. Sposobimy się do powrotu.
- Do Polski?
- Tak, do ojczyzny.
- Ale nie urodziłeś się chyba w tej dalekiej Polsce?
- Nie, w Paryżu. Mój ojciec jest powstańcem.
- Jakim?
- Więc Piotrek opowiedział rezolutnej dziewczynie o warszawskiej nocy listopadowej i tragedii uchodźców przed karami cara.
- Och, bo wy Polacy! – zawołała przerywając mu.
- Jak to rozumiesz? – spytał z niepokojem.
- Że mi się także podobasz.
- Zobaczył nadchodzącego Wojtka. Machał do nich ręką z daleka.
- Nie ma sumów, ale będą wieczorem. Przyniosę wam do domu. Zamówiłem z góry. Dobrze?
- Bardzo ci dziękuję.
- No to, honorowo... – wtrącił swoje ulubione powiedzonko.
- Odprowadzili ją w stronę placu. Podała im rękę na pożegnanie.
- Chciałabym, żebyście przyszli jutro po południu. Będzie biszkopt i herbata z konfiturami. I co ważniejsze, będą moje urodziny.

¹⁸ François Guizot (1787-1874) – francuski polityk i historyk; za czasów monarchii lipcowej minister, w latach 1847-48 premier, obalony przez rewolucję 1848 r.

Wieczorem, zanim usnął, zdawało mu się, że ponad namiotem wzbił się ogromny balon pełen najróżniejszych myśli. Próbował sobie wyobrazić te jutrzejsze urodziny. Zastanawiał się, dlaczego ona go zaprosiła. Przecież nie musiała tego robić. Ledwie co się spotkali, zamienili kilka słów pod okapem szopy. Na pewno – z przyjaźni dla Wojtka. Domyśliła się, że oni dwaj to przyjaciele, Polacy, jeden bez drugiego nie przyjdzie. Coś mu jednak podpowiadało, że to nieprawda. Lękał się o tym myśleć, ale wyczuwał, że... miała taką ochotę. Wypadałoby przygotować sobie jakieś pomysły do rozmów, aby znowu nie zacząć od tego, że... pogoda. I równocześnie zdawał sobie sprawę, że powinien siedzieć cichutko, nie za wiele mówić i jeszcze mniej przewracać oczami. Wojtkowi to i owo podszeptać. Wiedział, że tak właśnie powinien uczynić, chociaż wcale, a wcale nie miał na to ochoty. Jednak... przyjaciel rzecz święta. Kto tak mówił? Ojciec mówił, może nie ojciec, może gdzieś to wyczytał, trudno zgadnąć. Ale to jest prawda. Przyjaciel rzecz święta.

Rano, zaraz po śniadaniu, poszedł do kamerdynera. Wyjaśnił, że jest zaproszony do córki wysokiego urzędnika na urodziny. Kamerdyner nie miał nic przeciwko temu. Poleciał tylko wrócić na kolację. Dłużej poza dworkiem przebywać nie powinien.

Po południu spotkali się z Wojtkiem przed furtką jego domu. Wojtek spełnił wszystko, co do niego należało: miał dla dziewczyny prezent, wyczyścił buty, wręczył Piotrowi olbrzymi bukiet wspaniałych kwiatów.

Przy furtce domu, w którym mieszkała Isabelle, dopadł ich pies. Olbrzymi, czarny owczarek z gardłowym, zachrypniętym głosem. Okazało się jednak, że z Wojtkiem był w dobrej komitywie. Nieufnie obwąchał Piotrka, pomruczał jeszcze, posapał, ale w końcu ich wpuścił.

Zastukali do drzwi. Otworzyła im starsza pani. Ukłonili się, jak umieli najuprzejmiej, bo nie wiedzieli, kto to może być.

– My w sprawie urodzin – powiedział Wojtek. Pani uchyliła szerzej drzwi, by wpuścić ich do środka. Zawróciła w głąb korytarza i zawołała:

– Isabelle! Isabelle! Goście przyszli.

Po chwileczce wybiegła do nich dziewczynka z jasnymi włosami. Dzisiaj miała ich znacznie więcej, pewnie też umyła głowę. Miała inną sukienkę, nie granatową, ale jasną, prawie białą z koronkowym kołnierzykiem. Pantofelki były również inne, białe i błyszczące.

Za nią ukazał się jej ojciec. Spojrzał na chłopców, roześmiał się, skinął, by podeszli bliżej.

– Jednego z was znam, a drugi?

– Pierre, mieszka w dworku pana Delacroix – powiedziała Isabelle.

– Aha. Nasi goście, co we wsi jabłka kradną.

Piotr zmieształ się i nie bardzo wiedział, czy ma coś odpowiedzieć. Ale widocznie nikt od niego nie oczekiwał żadnych wyjaśnień. Więc podał Isabelle naręczę kwiatów, ukłonił się i powiedział:

– Życzę... wszelakiego szczęścia...

Równocześnie pomyślał, że winien był wcześniej ułożyć sobie w głowie kilka mądrych słów. Zaraz potem ośmieszył się Wojtek. Ukłonił się jak Piotr i powiedział:

– Życzę... wszelakiego szczęścia...

A z prezentem nic. W ogóle gdzieś go zapodział. Ręce miał puste. Piotr trącił go lekko w łokieć i szepnął:

– Teraz.

Wojtek wsadził dłoń pod sweter, grzebał tam przez chwilę, widocznie prezent musiał się ucześcić, może paska od spodni albo po prostu wełny. Wreszcie udało się i prezent ujrzał światło dzienne.

- Masz – podał jej Wojtek. – To dla ciebie.
- Ojej, coś ty!

Ojciec i matka, która właśnie nadeszła z przyległego salonu, zbliżyli się do Isabelle, aby zobaczyć, co takiego przyniósł jej Wojtek. Panienska nie spodziewała się, że zostanie czymkolwiek obdarowana. Cofnęła się nieco speszona. Jej mama wzięła do ręki medal z łańcuchem, obejrzała, potem jeszcze raz i jeszcze.

- To jest wspaniałe. Skąd ty masz, Wojtku, coś takiego?
- Mam, bo mam.
- To znaczy?

Piotr zrozumiał, że najwyższa pora, by włączyć się do tej rozmowy. Jeszcze moment i albo wyniknie jakiś skandal, albo Wojtek powie wszystko nie tak, jak należy.

- Proszę pani, to jest medal polskich powstańców. Medal jego ojca.
- Piękne i pamiątkowe.

Teraz medal wziął do ręki ojciec Isabelle, oglądał go długo, podszedł do okna, znowu oglądał z obu stron. Zwrócił się do Wojtka i z wahaniem mówił:

– Nie jestem pewny, Wojtku, czy Isabelle może to przyjąć. Medal wydaje się pamiątkowy, jest stary. O ile znam się na tym, niejeden Polak marzy, aby go mieć...

- Co?! – wykrzyknął Wojtek.
- Piotr trącił go łokciem w plecy i zdążył szepnąć:

– Nie krzycz, dałeś, więc przepadło.

Wojtek uklonił się ojcu Isabelle i natychmiast powiedział:

– Dałem, to... dałem.

Musiał zreflektować się, bo w chwilę potem wyjaśnił:

- Przecież wiem, co daję.
- No, jeśli tak – gospodarz cofnął się od okna i skinął na Isabelle.
- Włóż łańcuch na szyję, zobaczymy, jak będziesz w tym wyglądała.

Rozpoczęła się długa ceremonia przymierzania, poprawiania, zagładania do lustra, przeokropne zawracanie głowy, na które Wojtek patrzył z cielecym zachwytem. Gdyby nawet za ten medal można było kupić sobie parę wierzchowców i szablę srebrzystą, także by nie żałował.

Weszli wszyscy do salonu. Stół był nakryty białym koronkowym obrusem, pośrodku stołu duży wazon z kwiatami. Kwiatów zresztą wszędzie było mnóstwo – i na szafce, i na parapetach, i na komódce... Ale Piotrka kwiaty nic nie obchodziły. Za stołem siedziały bowiem trzy dziewczynki, których nie znał, nigdy przedtem nie widział, zapewne tutejsze przyjaciółki Isabelle. I kto jeszcze?

Siedział także Karol. Właśnie przerwał swoje opowiadanie, którego z wielkim nabożeństwem słuchały panienki. Karol nie był zachwycony przybyciem Piotrka i Wojtka. Piotr sam nie wiedział, dlaczego rośnie w nim złość na Karola. Mógłby powiedzieć, że tu będzie. Dużo naobiecował, że wszystkiego się wycofał. Na pewno pomyślał, że nikt mu nie będzie potrzebny do pomocy i do rozprowadzania w szkole, na jakich to przyjęciach bywał... Zdaje się, że Karol nie spodziewał się chłopców.

Isabelle położyła na stole medal z łańcuchem.

– Zobaczcie, co dostałam.

Koleżanki zerwały się, by dobrze obejrzeć prezent, a potem wszystkie razem poszły do lustra przymierzać i oceniać, której z tym medalem będzie najładniej.

– Spójrz, Karolu, jakie to ładne. Ty się przecież na tym znasz – powiedziała Isabelle.

– Cóż będę oglądał, zwyczajna rzecz. Zobaczysz, jaki ci prezent przyślę, gdy wrócimy do Paryża!

A potem mruknął do Piotrka i Wojtka:

– Jeden medalik i tyle zamieszania! Czy nie mogliście się spóźnić? Właśnie opowiadałem

o wyścigu na żrebackach, kiedy zdobyłem główną nagrodę. Akurat zbliżałem się do finału.

– No więc, zaraz dostaniesz swoją Grand Prix.

Jednak Karolowi nie sędzone było dokończyć opowiadania. Isabelle przy pomocy swojej guwernantki postawiła na stole ogromny półmisek wspaniałego biszkoptu zarumienionego po brzegach, a obok wielką wazę, której zawartość trudno było odgadnąć.

Mama osobiście kroїła biszkopt na plastry i widelczykiem nakładała na podsunięte talerzyki. Potem zanurzyła niewielką, srebrną chochlę w wazie, zaczerpnęła z niej i polewała biszkopty. Okazało się, że była to bita śmietana z poziomkami i bakaliami.

Karol zaczął mówić:

– Było tak. Za tym strumieniem z łopianami, pamiętacie, mówiłem przed chwilą, zmieniła się droga polna...

– Jemy...? – przerwała Isabelle, która też patrzyła na biszkopt łakomym okiem.

– No więc, jemy – podchwyciły skwapliwie przyjaciółki. I całe towarzystwo rzuciło się do opróżniania talerzyków. Biszkopt był świetny, miękki i pulchny, w kolorze żółtozłotawym. W ustach po prostu topniał jak puch niebiański, a śmietana z poziomkami chyba jeszcze nigdy nie była tak smakowicie ubita.

– Biszkopt kucharz piekł, a te poziomki ze śmietaną to moja zasługa.

Rodzice Isabelle także próbowali. Z ich twarzy można było wyczytać, że egzamin Isabelle wypadł bardzo pomyślnie. W chwilę później talerzyki były puste, więc rozpoczęła się teraz ceremonia repety. Karol znowu zaczął:

– Wjechałem na polną drogę i czuję, że moje źrebię potyka się... Piotrek z Wojtkiem wymienili spojrzenia. Czemu się ten Karol tak naprasza z gadaniem...? W końcu to nie jego urodziny, tylko Isabelle. Ale i tym razem nie udało mu się zdobyć nareszcie Grand Prix. Służąca przyniosła szklanki, łyżeczki, cukiernicę i konfitury. Zaczęło się nalewanie herbaty. A potem mieszanie jej z cukrem i konfiturami. Brzęk łyżeczek musiałby zagłuszyć nawet szczekanie stada psów, a cóż dopiero głos Karola.

Piotr kopnął Wojtka pod stołem. Tamten zwrócił twarz nie wiedząc, o co chodzi.

– Ciszej... – psyknął mu do ucha.

Skinął głową potakująco, że zrozumiał. Dziewczęta zaczęły opowiadać, jak się w ich domach robi konfitury.

Zaraz potem, gdy tylko zjedli, Isabelle wstała od stołu i podeszła do klawesynu. Wzięła stos nut, rozłożyła je na poduszczykach i rozdzielała. Te wybrane ułożyła nad klawiaturą. Przyciągnęła stołek, który miał tę dziwną właściwość, że można nim było kręcić w jedną i drugą stronę, jak kołem.

Usiadła i spojrzawszy na nuty zagrała. Wszyscy patrzyli z zaciekawieniem na jej szczupłe i drobne palce biegające szybko po klawiszach. Nagle zaczęła śpiewać. Piotrek nie spodziewał się tego zupełnie. Odsunął szklankę z herbatą, wsparł się łokciem na poręcz krzesła i słuchał. Isabelle śpiewała wysokim, dźwięcznym, jakby trochę drżącym głosem. Teraz wyglądała ślicznie i nie było chyba na świecie takiego człowieka, który by temu zaprzeczył. Wyglądała niczym obrazek z pierwszej strony kolorowej księgi.

Spojrzał w bok i zobaczył Wojtka tak przejętego widowiskiem, które się przed nim rozgrywało, że wszelkie próby odwrócenia jego uwagi musiałby spełznąć na niczym. Wsparł się obu łokciami na stole i z przejęciem szczypał podbródek. Piotr kopnął go raz i drugi, lecz nie poskutkowało. Chwycił za rękaw jego koszuli, pociągnął lekko. Miał nadzieję, że Wojtek zrozumie i zabierze łokcie ze stołu, lecz on opędził się tylko zniecierpliwionym ruchem dłoni, jakby mucha mu przeszkadzała.

Isabelle zaśpiewała kilka piosenek. Cofnęła ręce znad klawiatury.

Nagle Karol zaczął klaskać.

Isabelle wstała, oparła się jedną ręką o klawesyn, drugą zaś ujęła lekko suknię i skłoniła się nisko, z dygnięciem, raz i drugi. Wszystkim zdawało się, że ona kłania się Karolowi, który

ciągle klaskał.

– Spróbujemy razem? – zapytał podchodząc do klawesynu. Przerzucił nuty, jakby się na tym znał od urodzenia, wybrał jakąś kartkę i ku zaskoczeniu wszystkich usiadł na obracającym się stołku.

– Możesz to zaśpiewać? – powiedział tonem, w którym brzmiały wątpliwości.

W ogóle zachowywał się niczym bakałarz, który uczył śpiewu. Najpierw wyjął chusteczkę i przetarł nią kilka klawiszy. Cóż on sobie myślał, że muchy tam narobiły czy jak...?! Potem ręką przegładził papier nutowy, następnie wstał. Obrócił stołkiem raz i drugi. Usiadł znowu, dłonie wyciągnął ponad klawisze, znowu wstał, znowu pokręcił stołkiem i próbował, czy tak mu będzie najwygodniej.

– Ale teatr – szepnął Piotr do Wojtka. Jednak całe towarzystwo nie miało wcale tak kiepskiej miny jak Piotrek. Z wyraźną sympatią śledzili wszystkie przygotowania Karola. W końcu zamiast grać powiedział:

– Widzę, że całkiem udany klawesyn.

– Pobierasz lekcje muzykowania? – spytał pan domu.

– Oczywiście. Wszystkiego trzeba w życiu spróbować. Wreszcie zagrał. Isabelle znowu śpiewała tym swoim wysokim, drżącym głosem i znowu wszystkim bardzo się podobało. Gdy skończyła, Karol powiedział:

– Masz całkiem ładny sopran.

– W przyszłości chcę śpiewać koloraturą.

– Próbuj. Początki masz całkiem niezłe. Znowu rządził się jak profesor na egzaminie. Guwernantka pokroiła biskopt i opróżniła wazę ze śmietaną. Karol grał. Isabelle śpiewała, inni zasiedli do jedzenia w milczeniu i ze skupieniem.

Nagle Piotr zobaczył z przerażeniem, jak połowa nie dojedzonego biskoptu, z grubą warstwą śmietany i poziomek, wymknęła się z talerzyka Wojtka i wylądowała na spodniach. Wojtek poczerwieniał, zakrył biskopt dłońmi, rzucił wokoło wzrokiem zająca, którego wyczuły psy.

Nikt tego nie zauważył. Wszyscy patrzyli na śpiewającą Isabelle.

Piotr przysunął się do stołu, aby przynajmniej z jednej strony zasłonić Wojtka. Szepnął mu:

– Jedynie spokój może nas uratować.

Na szczęście Isabelle śpiewała dalej.

Wojtek położył dłoń na biskopcie, ułamał kęs i ostrożnie nieznacznym ruchem, by nie zwrócić na siebie uwagi, wsunął do kieszeni. Grzebał w niej przez chwilę, widocznie palce ocierał ze śmietany, i znowu powtórzył to samo. Ułamał spory kęs, zgniótł – i do kieszeni. W ten sposób poradził sobie z całym biskopciem, na spodniach została jeszcze śmietana. Piotr wyjął swoją chusteczkę i ukradkiem podał ją Wojtkowi. Tamten wycierał tak długo, aż poradził sobie i ze śmietaną. Jednej chustki było za mało. Wyjął swoją. Na spodniach została wielka plama i chyba należało poczekać, dopóki nie wyschnie. Drugą chusteczkę Wojtek upchnął jakoś do kieszeni. Właśnie wtedy Isabelle przestała śpiewać. Wróciła do stołu i zapraszała wszystkich, by skończyli herbatę.

– Chodźmy do ogrodu, pobawimy się!

Wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc. Rad nierad Wojtek musiał również wstać, na szczęście w tym zamieszaniu nikt nie zauważył plamy na spodniach.

Piotr szepnął Wojtkowi:

– Pędź teraz do umywalni i zrób z tym porządek.

– Coś ty, przecież nie wypada.

– Ale skąd! Już można. Skoro wszyscy wstali od stołu, więc można wyjść do umywalki.

– A jeśli zobaczą plamę, to będzie wyglądało podejrzanie.

– Więc zaczekaj. Pójdziemy do ogrodu, schowasz się w porzeczkach i powycierasz

wszystko starannie. Wyrzucisz z kieszeni ten biszkopt, bo zaraz wszystko przemięknie.

- Już chyba przemaka, bo czuję śmietanę.
- Słuchaj – mówił Piotr, gdyż nagle wydało mu się, że coś ważnego zrozumiał.
- No...?
- To dlatego chciałeś grać na skrzypcach?

Wojtek nie odpowiedział, ale mina, jaką zrobił, upewniła Piotra, że miał całkowitą rację. Wojtek nie chciał być gorszy. Jeżeli Isabelle śpiewa, więc on chciał grać. Podobał mu się ten Wojtek. Gdyby trzeba było, to i do straży pożarnej by wstąpił, żeby się dobrze prezentować. Pomyślał jeszcze, że Wojtkowi musiało być bardzo, ale to bardzo smutno i przykro, gdy ze skrzypcami wyniknęła kompromitacja. A teraz na dodatek Karol i jego muzykowanie...

Wychodzili do ogrodu.

Nagle Karol zatrzymał się i powiedział głośniejszym głosem, niżby należało:

- Zdaje się, że spodnie sobie zabrudziłeś.

Wszyscy spojrzeli na Wojtkę i na jego spodnie. Plama rzeczywiście była pokaźna i właściwie nie było nic do mówienia.

Wojtek poczerwieniał, zacisnął pięści, zatrzepotał powiekami, przez chwilę Piotrek bał się, że będzie go musiał powstrzymać, jeszcze chwila i skoczyłby z pięściami na Karola. Jednak nie zrobił zupełnie nic. Stał jak odrętwiały.

Karol wyjął swoją chusteczkę, podszedł do Wojtkę i zaczął go wycierać. Niby nic, a coś jednak starał się uknuć, bo niby skąd nagle taki uczynny...? Wyprostował się po chwili, spojrzął Wojtkowi w twarz i spytał:

- A co tam masz w kieszeni?

Zbliżyła się teraz matka Isabelle, troskliwym matczynym okiem obejrzała spodnie i zabrała Wojtkę do umywalki. No i tam się wszystko wydało, bo musiał wyjąć z kieszeni obie chusteczki i pół biszkopta wymieszanego z resztkami śmietany.

Tego było za wiele. Karol mógł sobie wyczyniać różne historie. Mógł opowiadać, jak wygrał wyścig i zdobył Grand Prix, bo faktycznie ją zdobył, mógł grać na klawesynie, bo nauczył się tego, mógł traktować Isabelle jak profesor uczennicę, skoro miał na to ochotę, i wiele, wiele innych rzeczy, których Piotr nigdy by nie uczynił, gdyż ojciec nauczył go skromności. Ale tego było za wiele. Świadomie i złośliwie komuś zaszkodzić – to nikomu jeszcze płazem nie uszło.

Wojtek chciał zbić Karola zaraz po „urodzinach”. Lecz Piotrek stanowczo się temu sprzeciwił. Po pierwsze, spodziewał się, że sytuacja będzie odwrotna: Karol zbije Wojtkę. Karol był wyższy o głowę, dobrze zbudowany, niemal tęgi. Wojtek wyglądał przy nim jak zabiedzony chłopiec z niższej klasy. Po drugie, Piotrowi wstyd było przed Wojtkiem. Zdawało mu się, że część winy spada również na niego, że Wojtek w duchu nie myśli sobie „ten Karol”, ale „ci z Paryża”. Więc postanowił sam załatwić sprawę – honorowo. Gdy wracali do dworu, zatrzymał Karola na ścieżce i powiedział mu spokojnie:

- Będziemy się bili. Sam chyba rozumiesz.
- Nie mam zamiaru bić się z nikim. Ale nie mogę odmówić, jeśli chcesz. Kiedy?
- Jutro. Przed wieczorem. Gdy będzie można wyjść z posiadłości pana Eugeniusza.
- Dobrze. Na jakich warunkach?
- Przyślij sekundanta, niech to omówi z Wojtkiem.
- Więc on będzie twoim sekundantem? Też sobie sekundanta lażeś.

- Powiedziałem, skończone. I więcej nie odzywaj się do mnie.
- No, to do jutra.
- Do jutra.

Nazajutrz rano przebudzili się i zgodnie wybiegli z namiotu, by rozprostować mięśnie.

Nagle Karol przypomniał sobie, że są obrażeni, powaśnieni, tuż przed pojedynkiem.

- W dalszym ciągu chcesz się bić? – spytał Karol.
- Tak. Na pięści. Bez żadnych dodatków. Żeby nie było jakiego gwoźdźcia albo kamienia...
- Rozumiem. Jak na pięści – to na pięści. Chcę zaproponować warunki.
- Jakie?
- Takie jak zawsze. Albo do pierwszego powalenia na łopatki, albo do pierwszej krwi.
- Zgadza się.

Teraz wtrącił się do rozmowy Wojtek, który właśnie nadszedł zdyszany.

- Zaraz, oko jak będzie liczone?
- Tak samo jak łuki brwiowe. Jeśli będzie śliwka, to koniec bójki.
- A ząb?
- Ząb to jest pierwsza krew.
- A zadrapania paznokciami?
- Uzgadniamy, że na pięści, a nie na pazury. Kto drapnie, ten przegrał.
- No, to w porządku.

Uzgodniwszy, że bójkę stoczą nazajutrz w lesie Senart, chłopcy rozstali się, Karol wszedł do namiotu, Wojtek miał pilne obowiązki w domu.

Piotr jak zwykle pobiegł nad rzekę. Woda w pobliżu brodu była spokojna, lecz dalej na otwartej przestrzeni powierzchnia marszczyła się falami. Wiał lekki wiatr pachnący lasem.

Usiadł na kamieniu i czekał. Niepokoiła go ta jutrzejsza bójka.

Więc było ich trzech: Wojtek, Karol i on. Kto będzie lepszy w oczach Isabelle? Wojtek, który jest świetnym, znakomitym kompanem, trochę nieokrzesanym i zabawnym? Karol, który wszystko potrafi, nawet zachwalić samego siebie, chociażby kosztem przyjaciół? Czy on?

„Ale, cóż ja? – myślał Piotr. – Jestem niski, piegowaty... Nie zwracam na siebie uwagi. A jeśli ktoś dobrze mi się przypatrzy, mruczy zaraz pod nosem „ten mały diabeł””

Zdawał sobie sprawę, że on się nie liczy. I był nawet z tego dumny, że potrafi w porę wycofać się, spojrzeć na samego siebie i podjąć decyzję, jak gdyby chodziło o kogoś innego. Było mu smutno i odczuwał coś na kształt bólu. Wtedy uświadomił sobie jedną z elementarnych prawd o człowieku. Ten ból nie pozwoli mu zapomnieć o wakacjach już w miesiąc po powrocie do Paryża. Champrosay – ze swym tajemniczym, dzikim lasem i chłodną wodą Sekwany wryje się w pamięć obrazem wielobarwnym i pachnącym, bez granic szerokim jak horyzont. Kiedyś, gdy wróci do Polski ze swym ojcem, często będzie myślał o Francji, a Francja – to Champrosay.

Nazajutrz po obiedzie przyszedł Wojtek. Było pochmurno i chłodno, znowu zanosilo się na deszcz. Piotr wdział obcisły sweter, choć pomyślał, że będzie mu za gorąco, ale ten wydawał mu się najlepszy. Wiedział z doświadczenia, że koszule mają tę właściwość, iż lubią się drzeć w czasie bójek.

Karol był w namiocie i także się ubierał. Udawali, że się nie dostrzegają. Przychodziło im to z wielkim trudem. Gdy jeden chciał przejść do swego posłania, drugi musiał odsunąć się na

bok. No, ale jeśli ktoś bardzo tego pragnie, to i słonia nie zobaczy na ścieżce.

Piotr skinął na Wojtka i po chwili znaleźli się przed namiotem. Stamtąd pobiegli łąką w stronę lasu Senart. Usiedli na trawie i czekali, aż pojawi się Karol.

– Postanowiłem, że ja też będę się bił – zaczął Wojtek.

– Nie będziesz.

– Dlaczego?

– Bo nie. Potem wszyscy rozgłoszą, że polscy elewi tłuką się między sobą, a przy okazji cierpią Bogu ducha winni chłopcy spoza Batignolles. Skończy się na tym, że mnie i Karola usuną ze szkoły.

– Tyle ceregieli, jakby nie wiem o co chodziło. Słuczemy Karola honorowo i nikt się nawet nie dowie.

– Powiedziałem, że ja to przejmuję na siebie!

– No, a jeśli on ciebie nabije?

– To trudno.

– Wtedy ja stanę.

– Jeśli mnie pokona, to i ciebie również.

– Myślisz, że jesteś silniejszy?

– Nie wiem. Zdaje mi się, że tak. W każdym razie Karol na pewno jest silniejszy od ciebie.

Jest wyższy prawie o głowę i cięższy, a to wystarczy.

– To nie fechtunek.

– Tym bardziej. Ręce masz krótsze, więc jak go dosięgniesz? Będzie cię trzymał na odległość, a potem: raz! Nos ci zaczerwieni... i już!

– Okaże się, okaże...

– Zobacz, nadchodzi.

Zjawił się Karol w towarzystwie syna kamerdynera.

– Mój sekundant – wyjaśnił.

Potem wspólnie odmierzali krokami plac, na rogach kładli chusteczki lub paproć zerwaną w lesie. Nareszcie plac był oznaczony. Karol powoli podszedł do sekundanta.

Piotr zorientował się, że już pora.

– Do pierwszego upadku albo do pierwszej krwi.

– Poza tym można się poddać albo uciec, rozumie się, że to oznacza przegraną – dodał Karol.

Rozpoczęła się rewizja. Sekundant Karola podszedł do Piotra i skrupulatnie obmacywał kieszenie, sweter, później oglądał ręce.

Wszystko było w należyтым porządku. Wojtek w tym czasie dokonał oględzin Karola. Także niczego nie znalazł. Można było zaczynać. Piotr zwrócił się do Karola i powiedział:

– Proponuję ugodę.

– Co?!

– Słyszysz chyba, proponuję ugodę.

– Na jakich warunkach?

– Przeprosisz Wojtka w obecności Isabelle i wszystko będzie w porządku.

– Nie mam go za co przepraszać.

– Kłamiesz, bo wiesz, że jest inaczej.

– Nie zwracaj głowy, żadnej ugody nie będzie.

– Nie, to trudno.

Sekundanci odprowadzili ich na przeciwległe strony wyznaczonego placu. Dali znak rękoma, że mogą zaczynać.

Karol i Piotr ruszyli naprzeciw siebie wolniutko, nie spiesząc się. Karol trzymał ręce w kieszeniach, ale to jedynie dla fasonu, bo Wojtek sprawdził – nic w nich nie było.

Dzieliło ich jeszcze parę kroków. Nagle usłyszeli głosy sekundantów:

- Stop! Rozejść się!
- Ktoś tu jedzie.

Piotr spojrział na ścieżkę. Rozpoznał Isabelle i jej osiołka. Zdziwił się, nic nie rozumiał. Skąd się tu wzięła, jak do nich trafiła właśnie w takiej chwili? Spojrział na Karola, czy to przypadkiem nie jego sprawka. Lecz Karol również nie ukrywał swego zdumienia.

– Udawajmy, że nic się nie dzieje, wyszliśmy, by porozmawiać – szepnął Piotr do Karola i sekundantów.

Przytaknęli głowami.

Isabelle zatrzymała osiołka tuż przed nimi. Zeskoczyła z niego i odetchnęła parokrotnie. Była zdyszana. Przeczesała palcami włosy, odgarnęła je do tyłu.

– Powstanie w waszej Polsce!

Zapadła cisza.

Piotrowi zdawało się, że ziemia drgnęła i rozszumiały się zakłete dęby lasu Senart. Zdawało mu się również przez chwilę, że słyszy szcęk broni, krzyk rannych, głosy komendy, nawoływania żołnierzy, huk armat.

Powtarzał sobie w myślach: „Zaczęło się, zaczęło...!”

Isabelle mówiła szybko, z zadyszka:

– Przyjechał posłaniec z listem do tatusia. Donoszą z Paryża: powstanie w Galicji, buntuje się lud, w Krakowie Rzecz Niepodległą Polacy ogłosili...

– Do szkoły! – krzyknął Piotr.

– Wracamy do Paryża! – zawołał Karol.

W oka mgnieniu pogodzeni ruszyli przez wiekowy las.

Siedzieli w kucki przed namiotem: Karol, Wojtek i Piotr. Ognisko trzaskało i sypały się iskry wokół stosu płonących gałęzi, zeschniętych i połamanych patyków. Pachniało ziemią i żywicą. Pachniały także trawy z podmokłych łąk i butwiejące szuwary przybrzeżne.

We wsi dzwonnica uderzył i spędził stado wron. Krążyły hałaśliwie, potem opadły tam, gdzie stała szopa na rybacki sprzęt, a do palików pomostu były przycumowane łodzie.

– Co tak pachnie? – spytał Karol.

– Ziemia – odrzekł Wojtek.

– Ale, ziemia nie ma zapachu. Tak w szkole mówili.

– Więc chyba niesłusznie. Tutaj wszystko pachnie.

W ognisku trzasnęło coś parokrotnie. Płomień buchnął wyżej i przygasł. Wojtek podniósł się, rzucił w ogień narecze gałęzi. Dźwignął się dym. Po słotach drzewo jeszcze niezupełnie wyszło.

Wojtek miał pilnować ogniska. Była to funkcja nie tylko honorowa. Piotrek chciał w ten sposób uczcić przyjaźń między elewami z Batignolles a Polakiem z Champrosay.

Poza kręgiem ogniska, gdzie było zupełnie ciemno, przysiadło kilku malców. Z wielkim zdziwieniem, a także z niecierpliwością patrzyli, co to się dzieje.

We wsi uciszyło się zupełnie i słychać było tylko trzaskanie drzew rzuconych w ogień.

„Isabelle pięknie śpiewa, być może kiedyś będzie wielką artystką – pomyślał Piotr. – ...A ziemia naprawdę pachnie. Jakoś tak świeżo, dojmująco i leniwie. Mama miała rację, że na wsi – zupełnie inaczej”.

Wygrzebał z kieszeni śliwkę, jedną z tych, które przyniósł Wojtek, i rozgniół ją w ustach. Splunął pestką w ognisko. Żuł soczysty miąższ, ciągle słuchając ujadania psów.

Niespodziewanie zjawił się kamerdyner. Z koszem w ręku.

– Przyniosłem wam jabłka. Świeże są, prosto z sadu. Umyte wodą ze studni, jeszcze mokre. Na pewno macie na nie ochotę. Myślałem... ech, cóż będę mówił po próznicy. Sami wiecie, jak to jest. Człowiek bywa czasami szorstki. Ale... widzicie, jeśli ktoś przyjedzie do nas i poprosi o gościnę, przecież nie odmówimy. My, Francuzi, jesteśmy gościnni. Podzielimy się tymi jabłkami.

Wrzawa zrobiła się wokół ogniska. Zaraz rozpoczął się ceremoniał podziału jabłek, a jeszcze później rozległo się przy ognisku głośne chrupanie.

Gdy kamerdyner odszedł, Wojtek upewnił się jeszcze raz:

– Jutro dyliżansem?

– Z samego rana.

Wstał i podsycił ogień. Długo grzebał patykiem w popiele, odwrócił się nagle i zawołał:

– Nie!

Zdumienie odjęło chłopcom mowę.

– Ja tutaj sam nie zostanę. Piotrze! Karolu!

Jak nagle wyrzucił to z siebie, tak i niespodziewanie ucichł. Kucnął przed ogniskiem. Zdawało się, że spokojnie rozważa to, co przed chwilą powiedział. To zamyślenie przerwał Piotr. Nachylił się nad nim, by go przyciągnąć ramieniem, i wtedy spostrzegł, że Wojtek płacze.

– Dlaczego, Wojtku, dlaczego?

Dopiero po chwili zwrócił się do nich cicho, niemal szeptem:

– Chłopcy, pójdę z wami do Paryża. Pojadę z wami do Krakowa...

– Oszalałeś...

– Wezmę chleb, ser i jajka, jedzenie na trzy dni, a czwartego z rana będę w Paryżu.

Zapadło milczenie. Piotr ważył coś długo w myślach i spoglądał na Karola. Tamten wlepił wzrok w ognisko i zdawało się, że jest daleko poza Champrosay.

– Co...? Karol?

– Myślę o tym samym, co i ty.

– Zatem, postanowione. Szkoła polska jest dla polskich dzieci, a im które biedniejsze, tym większe ma prawo do naszych bram Batignolles.

– Myślę – ciągnął Karol tonem niedbałym, jakby rzecz dotyczyła podziału jabłek na trzy części – myślę, że wystarczy mi ojcowego grosiwa na jedną więcej opłatę w dyliżansie. A potem...

– Do kraju! – krzyknął Wojtek.

– ... Podzielimy się ławką i kajetami – skończył Karol.

– Coś jakby różowiło się od wschodu – zauważył Piotr.

– Ognisko przegląda się w chmurach – rzekł spokojnie Karol.

Był rok tysiąc osiemset czterdziesty szósty, gdy trójka przyjaciół zdążyła do Paryża.

W parę tygodni później nadeszła wieść, że obce bagnety zakłuły na śmierć Krakowską Rzecz Niepodległą.

CZEŚĆ TRZECIA

I znów dwa lata przeminęły...

Ledwie co się ludzie wyszumieili na wielkich balach sylwestrowych i jeszcze nie zdążyli dojsć do siebie po ciężkich znojach owej nocy, jeszcze panowie leżeli po domach z ręcznikami na głowach, zaś panie migrenę leczyły, a młodzież dopiero jęła się rozkoszować prawdziwą zimą...

A tu nagle zawrzało, zakipiało! I kto umiał patrzeć na świat i wyciągać trafne wnioski, ten się wcale nie dziwił. Mocna obręcz despotyzmu schwyciła Europę kołem od Petersburga przez Berlin, Paryż, Wiedeń aż po Sycylię i Bałkany. Wszędzie tam narody tkwiły w pętach i nadszedł czas, kiedy rzecz miała się zdecydować. Albo się narody zaduszą w tej pętli cesarsko-królewskiej, albo zerwą ją z wielkim hukiem i trzaskiem, od którego zadrżą korony i z piedestału na bruki pospadają.

Kiedys przybiegł ze śródmięcia Karol i przyniósł interesujące wieści. W przerwach między lekcjami zaczął opowiadać młodzieży o tym, jak mediolańczycy z obrzydzeniem wyrzucają na śmietnik wszystko, co austriackie.

– Cygara i cygaretki wiedeńskie wrzuca się do kałuż, a sklepikarzy, co się anonsują towarem austriackim na swoich wystawach, wieczorami spiskowcy po domach nachodzą i chłostą grożą, szyby zaś tłuką i wszelakie portrety na podłodze butami depczą, jako że mają one cesarski świat uosabiać. Tak samo postąpili z austriacką loterią i wiele innych psikusów czarno-żółtym splełali.

Jakoż drugiego i trzeciego stycznia zaczęły się demonstracje, a wojska austriackie bezlitośnie z karabinów zrobiły użytek. I połała się krew ulicami Mediolanu. Jeszcze się baloniki, serpentyny i barwne dekoracje sylwestrowe zdążyły temu przyjrzeć.

W szkole przy Batignolles nagle zawrzało, jak w przysłowiowym ulu. Nic w tym dziwnego. Przecież Austriaków biją we Włoszech. Tych samych Austriaków, co brutalnie rozgromili przed dwoma laty powstanie galicyjskie i Krakowską Rzeczpospolitą. Więc na nic się zdały nakazy pana dyrektora. W południe młodzież, niby to kierując się do stołówki na obiad, zgromadziła się na dziedzińcu gwarna i rozentuzjajmowana.

Karol wszedł na płot, by lepiej go widziano, i zawołał:

– Kto rękę na cesarza wiedeńskiego podnosi, bratem naszym jest! Poślemy list do Mediolanu, by się dowiedzieli, że my, dziś elewi, zaś w niedalekiej przyszłości – oficerowie polscy – gotowiśmy stanąć murem razem z nimi, bo w Mediolanie wroga Polaków biją na ulicach!

Nadszedł dyrektor z wychowawcą internatu. Karola zdjęli jakoś z płotu i poprowadzili do kancelarii. Pani ochmistrzyni uderzyła w misę drewnianą kopystką i zapowiedziała, że temu, kto się ociąga, zimne jadlo przypadnie w udziale. Ruszyli więc wszyscy, żywo komentując wystąpienie Karola.

Tak się zaczęło.

W połowie stycznia nadeszły z Włoch nowe wieści, które tutaj w Batignolles eksplodowały niczym granaty: „Sycylia powstała!” „Sycylia rozgromiła armię królewską!” „Ferdynand podlizuje się buntownikom i bierze koncesję na rzecz przyszłej władzy, śląc do powstańców własną deputację”.

W dzień później ktoś przyniósł wiadomość z redakcji polskiej gazety. Sycylia zdetronizowała Ferdynanda i lud wlecze jego portrety ulicami Palermo na plac, gdzie już zapłonął stos. Nawet taki bogacz jak Minto jedna się z buntownikami, wiele rozmów prowadząc, by przykładowego króla za zgodą samych Sycylińczyków wynaleźć.

W całej Europie czuć było prochem, zapalono go we Włoszech i już wszyscy wiedzieli, że nie da się ugasić. Nie trzeba być tęgim żołnierzem czy doświadczonym oficerem, żeby sobie dobrze zdawać sprawę, iż nie ma na świecie takich, co by proch strzelniczy ugasił. Tak i w Paryżu, jeśli kto lepiej nosem pociągnął, czuł w powietrzu woń gotowej do wybuchu saletry. Nagle przypomnieli sobie wszyscy, jak to jeszcze w grudniu król Ludwik Filip w mowie tronowej na otwarciu Izby zganił ostrymi słowami wszelakich republikanów, co do biesiady¹⁹ namawiali.

Piotr dużo słyszał o tych biesiadach. Dzięki znajomościom jego ojciec raz był zaproszony i wiele potem opowiadał w domu, jak to było, czego się ludzie domagali, jak przeciągały się gorączkowe dysputy i jak bardzo nie w smak było wszystkim Ludwikowe królowanie. A już lepiej nie wspominać w ogóle o panu ministrze Guizot!

– Diabli nadali z tym Guizotem! – powiedział jeden ze starszych elewów tuż przy bramie szkolnej i zaraz wieczorem przyszła żandarmeria.

Nikt nie miał pojęcia, jak sobie z nią poradził dyrektor. W każdym razie udało się zatuszować całą sprawę i na niczyją głowę nie spadły pałki.

Następnego dnia dyrektor surowo przestrzegł uczniów, że to, co mają sobie do powiedzenia, mogą w sali rycerskiej wykrzyknąć, w stołówce albo w pokojach internatowych, ulica zaś do Francji przynależy i tam żandarmi pana ministra gospodarują, „nam zaś, Polakom, wara od spraw paryskich, bośmy z dotacji rządowej szkołę na wysoki poziom wydzwignęli”.

Dyrektor powiedział tak, bo musiał, a trzeba przyznać, że nie miał zapewne wielkiej ochoty na rozmowę z żandarmerią, młodzież zaś – co sobie pomyślała – to jej.

W kilka dni później Piotr wypatrzył na płocie plakat z wielkimi literami. Zbliżył się i zaczął czytać.

„Elewi z Batignolles! 22 lutego dwunasty okręg Paryża organizuje wielką i ważną biesiadę przy Polach Elizejskich. Uprasza się elewów, aby w dniu tym o godzinie wieczornej zgromadzili się w pobliżu kościoła Madelaine celem wzięcia udziału w uroczystym pochodzie na ową biesiadę”.

– Będzie zabawa – usłyszał Piotr za plecami.

Odwrócił się. Tuż obok przystanął Wojtek i również czytał plakat. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Ich nie trzeba przecież zapraszać ani zachęcać. Toteż bardzo się Piotr zdziwił, gdy wychodząc po lekcjach na dziedziniec, nie zobaczył już plakatu.

– Pętały zerwały czy jak? Może jakiś ordynus uliczny zdarł go i cisnął do rynsztoka...?

Chciał już pójść na obiad, gdy spostrzegł wypisany czerwoną farbą na murze rządkiem słów: „Komu republika leży na sercu, ten w oznaczonym dniu stawia się przed schodami kościoła Madelaine”.

Dyrektor zawołał z okna na dozorcę i krzyknął:

– Jeszcze tego nie zmazał?!

– Spieszę się, śpieszę – mamrotał stary, wąsaty Francuz wcale nie skory do dźwigania kubła z pędzlem i białą farbą.

– A to ci awantura – powiedział Wojtek do Piotra.

– Jeden pisze, drugi wyciera.

Nagle ktoś skinął na Piotra. Podszedł w jego stronę i rozpoznał Jeana z klasy technicznej, długorękiego drąga, co mógłby przy rue de Rivoli lampy czyścić bez użycia drabiny.

¹⁹ biesiada – rodzaj wiecu politycznego w ówczesnym Paryżu.

– Czego chcesz? – warknął Piotr, bo nie lubił, gdy starsi przyzywają młodszych nonszalanckim skinieniem dłoni.

– Widzę, że niepotrzebnie chodzisz do tej szkoły i dmuchasz w stołek – zaczął Jean.

– Odczep się!

– Uczą się i uczą, a paru słów nie mogą przesyłabizować...

– A tobie co do tego?! Jesteś dwa razy dłuższy ode mnie, ale już na rozum zabrakło ci materii, bo wszystko nogi zabrały.

Dryblas wyciągnął groźnie rękę, lecz w tej chwili rozległ się głos Karola:

– Jean! Zostaw go!

Chłopak zgrzeczniał natychmiast i zwrócił się do Karola:

– On jest nasz?

– Dziwię się, że nie wiesz, co się w szkole dzieje.

– Skąd mogłem się domyślić? Przecie jeszcze z pierza się nie wykuł, a już polityczny?

– Cicho! Podstuchają – szepnął Wojtek.

Zbliżyli się więc do siebie i rozmawiali półgłosem. Piotrek spytał:

– Co się tam dzieje? Raz plakat wisi, raz go nie ma, dopiero co przeczytałem, żeby iść pod kościół Madelaine, a już dyro wrzeszczy na „Karałucha”, żeby farbą zachlapał.

– Bo przyszła wiadomość, że król zabronił biesiady.

– Jak to, kiedy?

– A dziś. Byli z policji, afisze kazali zdjąć i spalić.

– To ci awantura.

– Awantura dopiero będzie. Dwudziestego drugiego.

– Król swoje, a my swoje.

– My, to znaczy?

– Republikanie. Słuchajcie chłopcy, wybieracie się?

– Dlaczego nie?!

– Zapisać? – spytał Jean.

– Listę sporządzasz?

– Chcę wiedzieć, ilu nas będzie.

– My na pewno.

– Dobrze. I pamiętajcie, nie wolno się przyodziewać w szkolne mundury.

– Niby dlaczego?

– Widzę, Pierre, że masz rozum stosowny do wzrostu. Czy nie zgadujesz, że gdyby nas tam w mundurach zobaczyli, rząd cofnie kredyty dla szkoły... Więc oficjalnie nas tam nie będzie, zaś naprawdę... Rozumiesz?

– Gęsi by to pojęły.

– I jeszcze pamiętajcie, gdyby wychowawca pytał, należy powiedzieć, że o niczym nie wiecie i wybieracie się do łóżka owego wieczoru.

– Już my sobie poradzimy.

Jean zmienił temat rozmowy, bo ktoś obok przechodził. Karol zaś nachylił się do niego i szepnął:

– Czy starsi zabierają szpady?

– Oszalałeś! – zgromił go szkolny spiskowiec.

Piotr w świetnym nastroju ruszył do jadalni, pogwizdując mazurka. Przed wieczorem wstąpił na chwilę do swego domu. Zastał ojca w znakomitym nastroju. Papa kręcił się z kąta w kąt, miejsca sobie nie mogąc znaleźć, mówił coś do siebie, uśmiechał się, szukał czegoś w rondlach, czyniąc wiele hałasu. Nareszcie usiadł w fotelu i jak zwykle zaczął rękawem o wystające gwoździe. Lecz nie zdenerwował się i nie skrzyczał Piotrka tym razem, ale kazał, by mu podał gazetę.

Znalazł na komodzie „Reformę” i przyniósł do fotela. Milczał, by ojcu nie przeszkadzać.

Jednak papa przywołał go skinieniem dłoni, wskazał na pismo i rzekł:

– Wydrukowali tłustą czcionką, że Francja o Polskę winna upomnieć się nie zwlekając.

– Owa – wtrącił Piotrek – też mi wiadomość. Psy wyją do księżycy każdej nocy, lecz im kości z tego nie przybywa.

– Cicho! Młokosem jesteś, na polityce się nie rozumiesz. Kto sprawę polską wnosi na forum, ten przeciw królowi staje, rozumiesz, tak należy to odczytać. „Reforma”, jak widzę, ruszyła na całego i już nijakiej ugody ja nie dostrzegam. Ktoś tu kogoś za łeb weźmie.

– Jak na Sycylii?

– A ty skąd wiesz o Sycylii? – zdziwił się ojciec.

– Posłał mnie tatko do szkoły, więc się kształcę.

Roześmiał się porucznik, strzelił dłonią w kolano, zaśmiał się znów głośno, poruszył w fotelu, aż gwoździe chwyciły za kaftan i oczka w materii pocięły.

– Do stu diabłów i ministra Guizota! Weź ten fotel i wyrzuć na ulicę! – A potem już spokojniej dodał: – Może za kilka dni będzie tam bardzo potrzebny.

I oto nagle Piotrkowi napłynęły zupełnie nowe myśli do głowy. Teraz dopiero pojął, że kroi się awantura, jakiej nigdy nie widział. Choć od pewnego czasu wyczuwał instynktownie w szkole i w domu atmosferę tajemną i pełną napięcia, teraz dopiero zrozumiał, że o wielkie rzeczy chodzi, a właśnie ludzkie nie zakończą się w komisariacie na spisaniu protokołu. Ojciec wiedział o tym i myślał, i być może jeszcze o wielu strasznych sprawach dumiał, skoro niechcący, w nagłej złości, wymienił to nikczemne nazwisko i wtedy natychmiast o wyrzucaniu mebli na ulicę zrobił uwagę.

Chciał Piotrek spytać o to i owo, lecz uznał, że pora po temu nie najlepsza, dopóki się ojciec nie upora z rękawem, którym się o gwóźdź zaczepił. Odszedł więc do kuchni, by sprawdzić, czy nie znajdzie kwaśnego mleka, bo pić mu się chciało po szkolnych ziemniakach okraszonych tłuszczem, mocno woniejącym spizarnią.

* * *

Losy biesiady ważyły się długo i Piotr nie miał pojęcia, jak to właściwie będzie. Odillon Barrot interpelował co prawda w Izbie, lecz odpowiedział mu Duchatel, sprawujący pieczę nad Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, że użyje siły w razie potrzeby.

Piotr z Wojtkiem wywiedli w pole wychowawcę internatu oraz portiera dość prostym fortelem.

Przed wieczorem stawili się w pobliżu kościoła Madelaine. Tłumek zebrał się spory, paryżan wciąż przybywało. Karol odnalazł swoich przyjaciół z najwyższym trudem.

– Słuchajcie – powiedział na wstępie – biesiada odwołana.

– Niemożliwe?! – zawołali obaj równocześnie. – Czyżby organizatorzy się ulękli?

– Nie boją się króla i Guizota. Lękają się tłumów, którymi Bóg jeden wie, jak pokierować.

– Cóż? Wracamy do Batignolles? – spytał zawiedziony Wojtek.

– Postoimy, popatrzymy... – zdecydował Piotr.

– Myślę, że to się byle jak nie skończy – ocenił Karol. – Narodu coraz więcej, a gdybyście widzieli, co się gotuje na Wielkich Bulwarach. Tam zgromadziły się tysiące. Dają słowo, że przybiegła połowa mieszkańców. Kto wie, czy reszta nie szykuje się do wyjścia ze swoich domów.

Pchani wielką, przemożną falą, w tłoku i ciżbie, ruszyli w stronę Bulwarów. Tam już podniecenie było olbrzymie. Demonstranci wracali spod Parlamentu. Nikogo tam nie zastali prócz woźnego. W pobliżu placu de la Concorde Piotr zauważył Jeana. Był tak

podekscytowany, że nie umiał wydobyć z siebie słowa. Z najwyższy trudem chłopcy potrafili się zorientować w jego nieskładnych okrzykach.

– Co za dzień! Co za czasy! Francja się budzi! Nie macie pojęcia! Król nasłał na tłumy Gwardię Narodową!

– I co? I co? Doszło do bójki?!

– Pojęcia nie macie, co się dzieje! Z batalionów padły okrzyki żołnierzy: „Precz z Guizotem! Niech żyje reforma!”

– Nie może być! Gwardia się zbuntowała!

– Tak jest, chłopcy, Gwardia się zbuntowała. ... A że rozmowa chłopców była nader głośna, więc usłyszeli ją ludzie dokoła i zewsząd podniosły się okrzyki. Tłum szemrał, wiadomość krążyła z ust do ust, aż obiegała cały plac. Zjawili się także inni świadkowie zajścia przed Zgromadzeniem. Teraz ludzie rozpowiadali o zabawnym incydencie. Jakiś podchmielony winem paryżanin, ujrawszy portiera w czerwonej kamizelce samotnie broniącego drzwi, podobno miał zawołać: „My tu jeszcze wrócimy i rząd utworzymy, który będzie czerwony jak twoja kamizelka”.

Nad placem Concorde niesły się okrzyki przeciw królowi. Dzień był chmurny, a wieczór chłodnawy. Ciemne, prawie brunatne niebo zawisło nisko ponad dachami. Drzewa na Polach Elizejskich szumiały niczym bór dziko rosnący.

Robiło się coraz ciśnień. Już nie tysiące, lecz istna powódź ludzka wypełniła place i bulwary.

Spadło kilka kropel. Prawie nikt tego nie zauważył. Nagle, bez podmuchu wiatru, bez jakichkolwiek zwiastunów burzy, spadła na ludzi ulewa. Zupełnie jakby ktoś beczkę przechylił, gwałtownie ją opróżniając. W oka mgnieniu ulice zamieniły się w strumienie lub sadzawki. Z głów ludzkich, z włosów, twarzy i ramion ściekały strumyki wody. Czuć było woń spoconej, mokrej odzieży, wełnianych płaszczy... Ciżba ludzka rzuciła się pod dachy, pod drzewa. Zgiełk się uczynił trudny do wyobrażenia. Piotrek z najwyższym trudem ratował swoje żebra przed pogrucotaniem. Nareszcie jakoś się wyzwolił. Ludzie czmychnęli, opustoszał plac. Chłopak mógł się teraz spokojnie rozejrzeć, odsapnąć, stwierdził z radością, że jest cały i zdrow. W niewielkiej odległości Wojtek masował swoje guzy i sińce. Karola odnaleźli dopiero późnym wieczorem. Schronił się pod wielki kasztan i wyściubił stamtąd nosa dopiero, gdy przestało padać.

Tłumy znowu powracały na plac. Uformował się wielotysięczny pochód.

Karol wskazał chłopcom energiczną postać zwijającą się u czoła tej ludzkiej fali.

– Spójrzcie, Lagrange, postach Lyonu, skoro przybył do Paryża, na pewno coś się zacznie.

Pochód zafalował, zaszemrał, czynił wrażenie wielkiej deszczowej chmury. Raz po raz wybuchał stamtąd jak błyskawica okrzyk krótki, donośny, elektryzujący wszystkich.

– Hej – zawołał Karol – czyżby szczęśliwa nowina?!

Chłopcy weszli między szeregi pochodu, rozpytywali się ludzi, nikt niczego nie wiedział na pewno, ale ktoś jednak uporczywie rozgłaszał, że panowanie Guizota skończone. Ludwik Filip uląkł się Paryża i odwołał Guizota, którego miejsce zająć miał Mole.

Piotr ze zdziwieniem spostrzegł, że tłumom jeszcze tego za mało. Skandowali nazwisko generała Lamoriciera. Tłum domagał się nowego komendanta Gwardii Narodowej.

Pochód ruszył. Chłopcy trzymali się w pobliżu, ciekawi, dokąd będzie zmierzał. Lecz po jakimś czasie potok ludzki znieruchomiał. Tam od czoła ktoś wykrzykiwał rewolucyjne hasła. Wprawne ucho Wojtka wychwyciło spośród tych okrzyków gniewne słowa pogróżek.

I nagle usłyszeli brzęk tłuczonych szyb. Do czyjegoś mieszkania posypały się kamienie.

Wszystkowiedzący Karol szepnął z niedowierzaniem:

– Czyżby wybili szyby panu Herbertowi?

– Kto to? – spytał Wojtek.

– Minister Sprawiedliwości króla Ludwika Filipa!

Przypuszczenia Karola szybko się potwierdziły. Okna rezydencji pana ministra zionęły głębokimi jamami. Chłopcy patrzyli na to z niedowierzaniem, prawie z lękiem i grozą, a równocześnie z wielką radością. Tyle zdarzeń w ciągu jednego wieczoru! Ministrowie tracili posady! Leciały szyby z okien! Chwiała się królewska Francja, paryżanie zapalili pochodnie, której blask miał roztoczyć się nad całą Europą.

Pochód wtargnął na Bulwar Kapucynów. Przeszedł mimo gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zatrzymał się przed oknami pana Guizota.

– Gwardia, Gwardia! – rozległo się pośród tłumu. Dom znienawidzonego ministra był pilnie strzeżony przez żołnierzy. Ale ciżba ludzka utknęła tylko na chwilę. Wolniutko, krok za kroczkiem, ruszyła naprzód spychając wojsko coraz bliżej muru. Poleciały kamienie. Z brzękiem rozsypało się szkło ostatniej latarni. Tu i ówdzie rozgorzały pochodnie. Dżdżysta, wilgotna noc okryła miasto ciemnością.

Piotrek chwycił Wojtka za rękę, ten zaś podał dłoń Karolowi. Nareszcie mieli pewność, że się nie zgubią. Ścisk na bulwarze nie pozwalał im przepchnąć się dalej ku przodowi. Tam zaś wrzało, a migocące ognie sprawiały wrażenie, że oto zbudził się wulkan drzemiący od wielu lat.

Nagle ciszę miejską rozdarł huk wystrzału.

Ludzie zamarli w bezruchu. Pomruki ustały. I wtedy... właśnie wtedy salwa z pięćdziesięciu karabinów wstrząsnęła śródmieściem.

Zakotłowało się! Ryk tysięcy zgromadzonych zagłuszył jęki rannych. Pochód zachwiał się, zafalował, rozpętał się na części, jedni rzucili się do ucieczki w boczne uliczki, inni napierali w stronę miejsca tragedii. Brzęk tłuczonych szyb, gruchot kamieni, trzaski łamanych desek, obalanych karoc, głuchy łomot wywalanych drzwi, wszystko to razem zmieszało się w jeden olbrzymi kocioł wrzawy i hałasu.

Trójka chłopców schroniła się do wnęki jednej z kamienic. Bulwar przed domem Guizota opustoszał. Wycofała się gwardia, rozpierzchli się demonstranci. Na bruku leżało kilkanaście ludzkich ofiar.

Z wolna robiło się coraz jaśniej. Dziesiątki zapalonych żagwi i pochodni oświetlało bruk uliczny. Krzepkie, spracowane ręce robotników dźwigały ciała zabitych i rannych. Formował się nowy pochód. Inni sprowadzili wozy, na których układano flagi, proporce, transparenty i czerwone draperie, by na nich mogły spocząć ofiary salwy karabinowej.

Chłopcy przyglądali się temu widowisku z przerażeniem, z zimną, zapiekłą goryczą, która ledwie co wycisnęła im z oczu łzę... Błazi, dygocący, stali oniemiałi trzymając się za ręce.

Piotr chciałby na przemian krzyczeć i płakać, bić i ścigać, ciskać kamieniami, nacierać szpadą, podpalać... Gniew i gorycz ogarnęły go całkowicie. Nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, gestu chociażby, tkwił więc pod murem w zupełnym osłupieniu.

Karol ocknął się pierwszy. Powiedział szeptem:

– Zmykamy! Straszne rzeczy mogą zdarzyć się lada chwila...

– Jak ostatnie zbiry, jak bandyci, pozabijali bezbronnych! – krzyknął zdławionym głosem Wojtek.

– To dopiero początek – szepnął Karol. Minęło sporo czasu, nim znów wymienili między sobą kilka słów. Wojtek, już nieco spokojniejszy, ścisnął rękę Karola i szepnął mu do ucha:

– A tyś myślał, że rewolucja to szlify oficerskie, strojne parady, szabla czyściutka i wojsko z bagnietami na karabinach ramię w ramię maszerujące do ataku. Patrz, jak to wygląda!

– Uzbrojone zbiry królewskie strzelają bez litości. Może tam były kobiety, a może dzieci...
– Chłopcy! – zawołał Karol. – Paryż tego nie daruje królowi! Teraz na pewno musi się coś zdarzyć! A może... może ci biedni ludzie, których teraz układają na furmankach, może to są pierwsze ofiary za niepodległą Polskę?

Ktoś właśnie obok przechodził. Z rozmowy chłopców wychwycił tylko jedno słowo. Zatrzymał się i spytał:

– *Pologne...?*

– Jesteśmy Polakami.

Ten ktoś odwrócił się do tłumu i zawołał:

– Hej! Tu są Polacy!

– Przecież to jeszcze dzieci – odpowiedział czyjś zdumiony głos.

– No, więc co z tego, że dzieci?! A może bezdomne? Wszak strzelano do wszystkich, nie mierząc i nie wybierając. Do nich także! Nagle pośród tłumu rozległ się okrzyk:

– *Vive la Pologne!*²⁰

Ludzie podchwycili okrzyk, tych kilka słów obiegło Bulwar Kapucynów i niesione echem zanurzyło się w wąskie uliczki Paryża.

Chłopcy czmychnęli. Może Karol miał rację, że pora już wracać do szkoły. Niechby się o wszystkim dowiedział dyrektor...!

Ale w sąsiedniej ulicy zagroziła im drogę wielka barykada. Ludzie ściągnęli tu karoce i bryczki, sztachety, bramy i odrzwia, wszystko, co było pod ręką, z czego można było zbudować tamę na wysokość pierwszego piętra. Na jej szczycie stało kilkanaście osób. Ktoś trzymał w ręku karabin.

Wydawało się Piotrkowi, że już to kiedyś w życiu oglądał. Jakby we śnie. Dziwne to było uczucie, doświadczał go po raz pierwszy. Wtedy sobie przypomniał. Mężczyzna w cylindrze, z rozpiętym surdudem, szalik wokół szyi, muszkiet czy arkebuza w dłoniach. Widział to już... w pracowni mistrza Delacroix.

– Chłopcy – krzyknął Piotr – upomnijmy się o nasze!

– Co ty wygadujesz?!

– Słyszeliście? Słyszeliście okrzyki na Bulwarze Kapucynów?

– Przecież we trójkę nie będziemy tu wrzeszczeć, bo hałasów dosyć – powiedział Karol.

Rozgardiasz w śródmieściu był rzeczywiście ogromny. W pobliżu wznoszono drugą barykadę. Z magazynów i sklepów ludzie wynosili, co się dało. Drzwi, okna, ławy, stoły, beczki, lady i szafy. Przewracano powozy, rżały konie, zewsząd dobiegał płacz rozbudzonych dzieci. Ognie płonących pochodni migotały różowym blaskiem na ścianach kamienic, barwiły nocne niebo kolorami pożogi.

– Wiem, co mówię! – znowu krzyknął Piotrek i pociągnął chłopców za sobą.

Biegli wąskimi uliczkami, aż przedostali się na niewielki placik z samotnym drzewkiem pośrodku. I tutaj zgromadziło się sporo biedoty, która już nadbiegła z dzielnic okalających plac Bastylia.

Piotrek odszukał znajome drzwi. Dopadł klamki, nacisnął, lecz nie ustępowała.

– Co ty wyrabiasz? – zaniepokoił się Karol.

– Chcę dostać się do składu farbiarskiego. Posyłał mnie tu czasem sam pan artysta.

– Zostaw drzwi, masz okno wybite – zauważył Wojtek. Wskoczyli obaj do środka. Karol został przed domem na czatach. W składzie panował nieopisany bałagan. Ktoś tu zakradł się wcześniej, widocznie w poszukiwaniu akcesoriów niezbędnych dzisiejszej nocy. Piotrek sięgnął do półki z farbami. W kącie stały wiadra.

– Lej wodę do jednego albo i do dwóch! – rozkazał Wojtkowi. Otworzył tymczasem wielką puszkę z czerwoną farbą. Gdy tylko Wojtek przyniósł wiaderko pełne wody, opróżnił

²⁰ *Vive la Pologne!* (franc.) – Niech żyje Polska!

puszkę aż do dna. Z innej półki wziął pędzel i mieszał tak długo, aż cały płyn nabrał jednakowej barwy i konsystencji.

– Masz drugie wiaderko?

– Już podaję.

Piotrek odnalazł białą farbę i także rozrobił ją wodą. Zanurzył drugi pędzel. Ustawili wiadra na parapecie i przywołali Karola. Po chwili wszystko było na chodniku.

– A teraz do dzieła! – szepnął Piotrek. – Karol będzie stał na czatach i pilnował, by nas żandarmi nie chwycili. Wojtek przyniesie wiaderka, ja zajmę się pędzlami.

Odbiegli w boczną uliczkę. Rozejrzeli się, czy kogoś nie widać. Była cisza, mroczno, o parę kroków dalej ktoś chrapał w bramie. Piotrek zanurzył pędzel w kubie z czerwoną farbą. Pisał na murze wielkimi literami: „*Vive la Pologne!*”

Gdy tylko skończył, wrzucił pędzel do wiadra, zagwizdał na Karola i pobiegli dalej.

Wojtek dźwigał oba ciężary lekko, podśpiewując sobie jakąś melodyjkę, z ochotą i radośnie.

– Słuchajcie, chłopcy, czy warto marnować tyle cudzej farby na zapisywanie ciemnych zaułków i opłotków...? Chodźmy na Bulwary! Piotrek przytaknął bez wahania. Po krótkim namyśle zgodził się i Karol.

Przedostali się w pobliże placu Concorde. Tutaj na ścianie drogiego i reprezentacyjnego hotelu Piotrek wypisał czerwonymi literami: „*Vive la Pologne!*”, a pod spodem białą farbą: „*Liberté pour la Pologne!*”²¹.

Natychmiast zgromadził się spory tłumek.

Chłopcy porwali wiaderka i pędzle, czmychnęli, by nikt ich nie zatrzymał. Wynaleźli sposobny mur. Karol stanął na czatach. Gdy Piotrek uporał się z połową napisu, usłyszał krótki, ostry gwizd. Karol dawał znaki. Piotr chwycił Wojtkę za ramię i obaj schronili się do ciemnej wnęki.

Nadchodziło kilku mężczyzn z karabinami. Gdy lepiej im się przyjrzel, dojrżeli robotnicze kaftany i ciężkie pomarszczone buty z zadartymi nosami, mocno już sfatygowane.

Grupa Francuzów zatrzymała się. Ktoś dotknął jeszcze wilgotnego napisu. Piotrek wynurzył się z ciemności.

– Czy możemy dokończyć?

– A to wyście Polacy? Kończcie więc. Szesnastu ludzi padło na Bulwarze Kapucynów.

– Wiemy. Widzieliśmy.

– Nie tylko za republikę i nie tylko za Francję.

– Mój ojciec na pewno powiedziałby to samo. Piotrek umaczał pędzel w kubie i kreślił dalsze literki. Później chyłkiem przemknęli się tuż w pobliże kościoła Madelaine. Znaleźli ustronne miejsce. Czerwona farba już się skończyła.

– Wypiszemy białą do dna i wracamy – zdecydował Karol.

– Najwyższa pora ciągnąć na Batignolles. Bóg wie, co się w szkole dzieje – wtrącił Piotr.

Karol cofnął się w głąb ulicy i wdał się w rozmowę z dwiema kobietami. Piotr zanurzył pędzel, wymieszał farbę i starannie kaligrafował literki pierwszego wyrazu.

Nagle spostrzegł, że Wojtek padł na ziemię i czołgał się w stronę drzewek, gdzie panowały zupełne ciemności. Równocześnie usłyszał tuż za plecami:

– Stać, bo strzelam!

Wypuścił z rąk pędzel, odwrócił się i tuż przed sobą zobaczył postać żandarma. Karabin miał co prawda przerzucony przez ramię, ale zza pasa wydobywał ogromną ciężką pałę i nie było żadnej wątpliwości, że natychmiast zrobi z niej użytek.

– Aresztuję cię.

Tysiące myśli naraz przemknęły Piotrkowi przez głowę. W oka mgnieniu stanął mu przed

²¹ *Liberté pour la Pologne!* (franc.) – wolności dla Polski!

oczyrna posepny wjazd do królewskiego więzienia. Zadrzał. Nogi się pod nim ugięły. Czuł, że zaraz upadnie.

Głowa żandarma wirowała mu w oczach jakby siedział na karuzeli. Ze strachu i przerażenia ogarnęły go mdłości. Kolanem uderzył w wiaderko. I wtedy myśl krótka, niczym błyskawica!...

Chwycił mocno wiaderko, gwałtownie uniósł do góry i chlusnął żandarmowi w twarz całą zawartość kubła.

Postać mężczyzny zamieniła się momentalnie w białą, nierzeczywistą zjawę. Opuszczony karabin stuknął o bruk chodnika. Farba ściekała aż na spodnie, na buty, a pod stopami utworzyła się niemała kałuża. Żandarm przecierał twarz dłońmi, ale gęsta i kleista ciecz szczelnie zalepiła nos, oczy, usta, uszy, całą głowę i piersi.

– Ty mały diable! – wymamrotał.

Piotrek odrzucił kubeł, przykucnął i na czworakach wymknął się z zasięgu ramion żandarma. Spod drzewka zerwał się Wojtek. Przerażony Karol dołączył także do chłopców i czmychali ile sił w nogach!

Ale nim jeszcze odbiegli, dały się słyszeć krzyki i nawoływania. Spora grupa robotników rozbrajała patrol żandarmerii.

Głęboką nocą trzech chłopcy zdrowi i cali znaleźli się przed parkanem szkoły w Batignolles.

Następnego dnia rankiem szef żandarmerii miejskiej składał raport ministrowi.

– Całe śródmieście zapaćkane farbami. Jacyś hultaje domagają się wolności dla Polski, jak gdyby pomylili sobie Paryż z Petersburgiem.

– Któż by inny, jak nie Polacy. Może oni wiedzą, co robią – dodał po namyśle minister.

Wielka uroczystość, prawdziwe święto, odbywała się w tydzień później na dziedzińcu szkolnym. Wieczór zapadł już nad Paryżem i dziesiątki żagwi rozjaśniały ulicę i podwórze. Robotnicy odnieśli prawie że na rękach elewów szkoły Batiniolskiej do internatu. Pan dyrektor kazał wytoczyć beczkę z winem i rozpoczęło się ucztowanie.

Wielkie pochody trwały niemal przez cały dzień. Paryż odprowadził na cmentarz szesnaście ofiar nowej republiki. Życie tych ludzi było na wagę królestwa. Ludwik Filip z księżną Nemours i dziećmi cichaczem przemknęli się przez ogród Tuileries, dwoma najętymi fiakrami odjechali do Saint Claude, by w przebraniu i za pożyczone pieniądze umknąć do Londynu. We Francji nastąpiła republika.

Uczniowie szkoły w Batignolles przebrali się w świąteczne stroje kościuszkowskie. Przed kościołem Madelaine uformowali kolumnę. Na przedzie trójka prymusów niosła sztandar narodowy. Tuż za nim kroczył sam generał Józef Dwernicki, ze świeżo przystrzyżonym wąsem, błyszczącymi epoletami, ozdobną pochwą szabli, szlifami generalskimi, krzyżami bohaterstwa.

Wzdłuż całej drogi aż do placu Bastille pochód to ruszał, to zatrzymywał się i znowu kroczył naprzód, więc generał przy każdej okazji zwracał się do zgromadzonych tłumów i żywo gestykulując przemawiał w sprawie polskiej, a często musiał urywać w pół zdania, bo mu okrzyki Francuzów zagłuszały słowa.

Gdy znowu kolumna utknęła, nagle z chodnika rozległ się cieniutki, dziewczęcy okrzyk:

– Piotr! Wojtek! Ze zdumieniem spojrzeli w tamtą stronę. Wojtek pierwszy spostrzegł dziewczynę i nie bacząc na równe szeregi szkolne, skoczył w jej stronę.

– Isabelle!

Piotrek pomknął tuż za nim, a Karol jeszcze raz obciągnął i przyglądził surdut, poprawił rogatywkę i także ruszył na spotkanie.

– Co za szczęście, moi drodzy. Anim się spodziewała, że was dzisiaj ujrzę, że zobaczymy się jeszcze kiedykolwiek. Boże, jacyście wy odświętni, co za elegancja. Wyglądacie jak prawdziwi porucznicy pana generała.

– Isabelle, co ty robisz w mieście?

Najpierw Piotrek ogarnął dziewczynę ramionami, pocałował w oba policzki, później Wojtek, mocno się zarumieniwszy, uczynił to samo, także i Karol serdecznie uściskał przyjaciółkę z Champrosay, wielce uradowany.

– Wróciliśmy do Paryża – trzepała szybciotko Isabelle – papa zawsze mówił, że panowanie Guizota skończy się rychlej, niż by można się było spodziewać, no i papa prawdę mówił.

W stronę chłopców przecisnęła się mama Isabelle, z wielkim zaciekawieniem i podziwem oglądając ich paradne stroje.

– Mamusiu, prawda, że zaprosimy do naszego nowego mieszkania Karola, Piotra i Wojtka...

– Naturalnie, że zaprosimy, jeśli tylko zechcą nas odwiedzić i będą mieli na to czas.

– I znowu będą poziomki ze śmietaną!

Chłopcy skłonili się kolejno. Smak tamtej uczyt urodzinowej do dzisiaj został im w pamięci. Myśl o poziomkach w śmietanie, które srebrną łyżką Isabelle nakładała każdemu na talerzyki, rozbudziła nagłą tęsknotę do niedalekiej już wiosny.

– Jacy z was wspaniali kawalerowie – nie mogła się nadziwić mama.

Pochód znowu ruszył, więc chłopcy grzecznie skłonili się, mignęła czerwień ich rogatywek, pobiegli do szeregów, Isabelle jeszcze długo powiewała swoją jedwabną chusteczką, żegnając elewów z Batignolles.

Po uroczystości wokół placu Bastille i na cmentarzu Pere-Lachaise Piotrek musiał gonić niemal na drugi koniec miasta. Chciał koniecznie spotkać się z ojcem, który coś wspominał o rychłym powrocie do kraju. Uczniowie także mówili, że spora grupa oficerów i żołnierzy chce niebawem rozpocząć marsz wolności na Kraków i Warszawę.

Właśnie gdy przebiegał w pobliżu ogrodów Tuileries, spostrzegł powóz, który wydał mu się znajomy. Także mężczyzna siedzący na przedniej ławeczce kogoś mu przypominał.

Nagle, zerknąwszy do wnętrza, zatrzymał się w pół kroku. Ujrzał chudą, anemiczną twarz z wielkim nosem, garść włosów spadającą w nieładzie na policzek, dłoń szczupłą, z długimi palcami, piękny sygnet bogato oprawny...

– Jaśnie pan Fryderyk!...

Zastukał do drzwiczek, a gdy wzrok Chopina skierował się na niego, zdjął czapkę, opuścił ją aż do kolan i skłonił się nisko, z uszanowaniem. Nie mógł zrozumieć, co się takiego stało. Pan Fryderyk tak był niepodobny do siebie! Starszy o wiele, wiele lat, zmęczony, niemal nieobecny, pełen smutku i zadumy, której nie dało się bliżej określić.

– Piotr... – bez trudu jednak rozpoznał chłopca.

– Słucham, panie...

– Cóż mi powiesz, chłopcze? Znajduję cię w dobrym usposobieniu i domyślam się, że wracasz z uroczystości...

– Tak, proszę jaśnie pana.

Chciał Piotrek zapytać, dlaczego pan Fryderyk jest taki blade i smutny, ale nie śmiał ust otworzyć. Jakby mimo woli wyrwało mu się inne zupełnie przypuszczenie.

– Pan mistrz także będzie wracał do kraju? Fryderyk uśmiechnął się lekko, prawie niedostrzegalnie kącikiem ust, wysunął swoją dłoń przez okienko i dotknął Piotrkowej rogatywki.

– Niebawem wyjadę do Anglii... A potem być może udam się w podróż całkiem inną, z której nikt jeszcze nie powrócił.

– Nie może być! – krzyknął z przerażeniem Piotrek.

– Do Polski jest znacznie dalej, niż wam się dzisiaj wydaje... – znowu uśmiechnął się ledwie zauważalnie. – No, ale mogę ci przyobiecać, że jeszcze za swego żywota będziesz Polskę oglądać i może dojdiesz w niej do znacznych zaszczytów. Żegnaj, Piotrze.

Służący Jan szarpnął lejcami i powóz ruszył.

A wieczorem siedział Piotr w mrocznym zakątku podwórka, tuż obok parkanu, patrzył na rozpalone ogniska i migotliwe żagwie, słuchał wesołych śpiewów robotników paryskich zbratanych tego dnia z elewami w kościuszkowskich strojach.

Miał ciągle jeszcze przed oczyma białą jak papier i pociągłą twarz pana Fryderyka i zdawało mu się, że jeszcze słyszy jego słowa. Czyżby nie mylił się mistrz, że do kraju wciąż jeszcze daleko, daleko... A gdy znajdzie się tam „za swojego żywota”, jaką znajdzie Polskę? Jak będzie wyglądała?

Korekta: Joanna Bednarek